№ 33. Warszawa, dnia 18 (6) Sierpnia 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szkoła z rodziną.

P. minister oświaty rozesłał jeszcze w grudniu roku zeszłego okólnik do kuratorów, w którym polecił szczególnym ich staraniom wzmocnienie karności szkolnej i ujęcie uczącej się młodzieży w ściślejsze karby. Okólnik ten teraz dopiero ogłoszony został w *Prawit. Wiestniku*, teraz więc dopiero możemy z jego treścią poznajomić czytelników naszych.

Główny w nim nacisk położono na konieczność opanowania całego życia uczniów przez władzę szkolną i utrzymania ich w należytym rygorze, ku czemu środki wskazał swemi rozporządzeniami dawniej b. minister oświaty hr. Tołstoj. Jego następca widzi teraz potrzebę przypomnienia skuteczności tych przepisów, gdyż—jak powiada w okólniku — „okazało się, że ostatnimi czasy w 13 gimnazyach, 1 progimnazyum i 10 szkołach realnych zauważono u niektórych uczniów mniej lub więcej wyraźne ślady przestępnej propagandy a obok tego współcześnie w 14 gimnazyach i 4 szkołach realnych zaszły zbiorowe nieporządki, tudzież zdarzyły się wypadki niesłychanego zuchwalstwa." Jakim sposobem śledzić lub tamować propagandę i karać rozruchy — minister uczy szczegółowo. Śród tych wszakże wskazówek policyi szkolnej, znajduje się jedna, na której głównie zatrzymamy uwagę czytelników i która zdaje się była powodem przeprowadzenia okólnika z akt kancelaryjnych do prasy. Odnośny ustęp. będący pomysłem nowym i bardzo trafnym, brzmi tak: „Zwrócić należy szczególną baczność zwierzchników, nauczycieli klasowych, osób wykładających i wychowujących w zakładach naukowych średnich na ważność i konieczność utrzymania bliskich, *ścisłych* i *pełnych zaufania* stosunków *między rodziną i szkołą*, w myśl wskazówek zawartych w punkcie 4 uwag objaśniających i w instrukcyi dla nauczycieli klasowych. Dyrektorowie, inspektorowie i nauczyciele klasowi, którzy *nie postarają* się lub *nie potrafią* zawiązać podobnych stosunków z rodzicami lub opiekunami swoich uczniów, pozbawią tem samem tak siebie, jak i własny zakład naukowy, *jednego z najważniejszych i najdzielniejszych środków* oddziaływania pedagogicznego na swych uczniów, i tym sposobem *zaświadczą o nieudolności swej* do piastowania zajmowanego przez nich stanowiska. Rozumie się, że szkoła nie może i pod żadnym pozorem nie powinna, dla dogodzenia rodzicom lub opiekunom, odstępować od swych surowych a rozsądnych wymagań tak względem nauki jak i wychowania dzieci; obowiązana jest wszakże przy każdej zdarzonej sposobności wyjaśniać rodzicom i opiekunom właściwość i potrzebę każdego z tych wymagań i skłaniać ich tem samem do *wspólnych usiłowań* ku większej pomyślności i powodzeniu w sprawie wychowania dzieci."

Jest to pomysł zupełnie słuszny i wywiedziona zeń reguła zapewnić może dobre owoce. Nie ulega wątpliwości, że nawet przy najlepszym wyborze i systemacie nauczycielskim — o czem w tym wypadku nie ma mowy — zupełne w kierownictwie odcięcie młodych latorośli od pni, z których wyrosły, rozbratanie szkoły z rodziną, wyłączenie z wychowania publicznego wpływu rodziców—dobrego plonu nigdy nie da. Nierozsądne wymagania ostatnich powinny ustąpić pedagogicznym zasadom szkoły, ale z drugiej strony zakłady wychowawcze nie powinny stawać na przeciwległym biegunie względem rodziny. One z nią muszą utrzymywać łączność i posługiwać się jej pomocą, chociażby dlatego, że gdzie środek karny dosięgnąć nie może lub okaże się bezwładnym, tam powaga lub miłość rodzicielska złemu zaradzi. Najwyraźniej skuteczność tego przymierza uznaje okólnik, gdy powiada: „W razie gdyby szkolne środki okazały się niedostatecznymi, należy we właściwym czasie uciekać się do współudziału rodziców i za ich zgodą przedsiębrać wszystko, czego wymagać będzie poprawa uczniów krnąbrnych lub niedbałych."

Za czasów Winnickich lub wogóle wtedy, gdy w domu dzieci tylko karmiły się a w szkole wychowywały, sojusz między tymi dwoma czynnikami mógł być luźniejszym; ale dziś rodzina stała się również szkołą, postęp wiedzy pedagogicznej przeniknął do najpierwszych stosunków życia człowieka, ojciec lub matka nie oddają szkole dzikiej płonki, na której lepsze uczucia lub myśli dopiero szczepić trzeba, lecz często powierzają dalszy rozwój umysłu i charakteru starannie i umiejętnie pielęgnowanego. Ciągła zatem pomoc najserdeczniejszych przyjaciół i najpierwotniejszych nauczycieli dziecka bywa często nieoszacowaną.

Ale żeby taki związek dał się trwale i dla obu stron korzystnie utrzymać, nietylko jedna z nich ma być obowiązaną do ofiar i ustępstw. Jak rodzina winna poświęcać swe słabostki słusznym wymaganiom szkoły, tak znowu szkoła nie powinna obrażać i łamać słusznych praw rodziny, nie żądać od dziecka, ażeby ono wynaturzyło się i stało czemś zupełnie odmiennem od swych rodziców. Wtedy dopiero owa zapowiedź konieczności pogodzenia dwu dziś zwaśnionych sióstr, wyrażona w okólniku ministeryalnym, spełni się rzeczywiście, wtedy nie będą one nieprzyjaciółkami a w tej waśni wychowana młodzież nie pójdzie na bezdroża, nie rzuci się w wir zepsucia lub nadużyć.

W OBRONIE PRACY MAŁOLETNICH.

A więc prawo fabryczne *), uchwalone 1 czerwca 1882, które miało zyskać moc obowiązującą od 13 maja 1883 r., odłożonem zostało na cały rok, t. j. wejdzie w życie dopiero 13 maja 1884 r. Nie wiemy, jakie powody wpłynęły na taką uchwałę Senatu, musimy zatem ich rozbiór pominąć; w każdym jednak razie sądzimy, że czas, zyskany przez taką zwłokę, zużytym będzie na uzupełnienie i dokładniejsze określenie ustawy, gdyż w obecnej formie przedstawia ona tylko szkic, zarys czegoś obszerniejszego.

Przedewszystkiem uderza nas brak przepisów, określających kary za niestosowanie się do niej. O ile możemy wnioskować z dziejów praw fabrycznych w zachodniej Europie (a szczególnie w Anglii), pokusa do omijania niedogodnych paragrafów jest tak silną, że tylko nieustanny nadzór inspektorów i wysokie grzywny zdołały powstrzymać przemysłowców od zatrudniania małoletnich dłużej, niż prawo dozwala.

Jeżeli nadużycia nie wychodzą szybko na jaw i nie pociągają za sobą dotkliwych kar, wtedy znaczenie ustawy spada do zera, gdyż fabrykanci przekonywają się, że więcej zyskują na omijaniu przepisów, niż tracą na grzywnach. Nie mamy żadnej podstawy do złudzenia, że u nas nadużyć nie będzie; przeciwnie, sądzimy, że zdarzą się one nieraz, zwłaszcza w początkach, zanim fabrykanci oswoją się z niewygodnymi obowiązkami i zastosują produkcyę do nowych warunków. Powszechnie przyjętym jest obecnie zwyczaj, że małoletni pracują tyleż, co i dorośli, bez względu na długość dnia roboczego. Długość ta bywa bardzo rozmaitą; w najlepszym razie trwa 10 godzin, dochodzi jednak do 11, 12, 12½ a nawet więcej (nie licząc przerw). Jeżeli zaś od tego zwyczaju robią się jakie wyjątki, to tylko na niekorzyść małoletnich. W wielu, zwłaszcza mniejszych, zakładach, dzieci pozostają w fabrykach dłużej dla uprzątnięcia warsztatów. Niekiedy bywa jeszcze gorzej. Oto np. w jednej z większych fabryk garbarskich Warszawy panuje taki regulamin: dzień roboczy trwa od 6 rano do 6 wieczorem z trzema przerwami: na śniadanie, obiad i podwieczorek (razem niecałe 2 godziny); dzieci jednak powinny przychodzić o godzinę wcześniej dla rozpalenia ognia; a po skończeniu roboty pozostają jeszcze dla zamiecenia fabryki i uprzątnięcia warsztatów; czynność ta zajmuje im przeszło pół godziny. Nie wiemy, o ile taki zwyczaj jest rozpowszechniony; w każdym razie możemy wywnioskować, że jeżeli małoletni są uprzywilejowani, to tylko pod względem większego ciężaru. Sam zatem już nałóg skłaniać będzie fabrykantów do przedłużania dnia roboczego ponad przepisane 8 godzin, tembardziej, że na wymówkę mają cały arsenał frazesów o upadku przemysłu narodowego, o demoralizującym i zgubnym wpływie próżniactwa itp. Nie chcemy przez to powiedzieć, żeby wszyscy przemysłowcy nasi byli zwolennikami nadmiernego wyzyskiwania sił dziecięcych i przeciwnikami nowouchwalonego prawa; owszem, sądzimy, że wielu z nich rozumie całą doniosłość ograniczających przepisów, ale przy obecnym kapitalistycznym systemacie produkcyi, ci, którzy się zastosują zupełnie do ustawy, nie wytrzymają współzawodnictwa z tymi, którzy zechcą ją omijać, i będą musieli albo upaść w walce, albo wraz z innymi nieuwzględniać prawnych ograniczeń.

Że wolna konkurencya oddziaływa w ten sposób, znajdujemy dowody w sprawozdaniach inspektorów fabrycznych angielskich; niektórzy fabrykanci skarżyli się im, że z chęcią zastosowaliby się do przepisów prawa i że nawet próbowali już to uczynić, ale walka z innymi stoi temu na przeszkodzie. Niech znajdzie się zatem kilku niepo-słusznych i zręcznych, inni, chcąc nie chcąc, będą musieli to samo uczynić. Trudno zaś przypuścić, żeby takich kilku się nie znalazło, tembardziej, że ogólnikowe artykuły nowej ustawy otwierają szerokie pole do najrozmaitszych nadużyć. I tak np. przepisuje ona, żeby małoletni pracowali nie więcej, jak 8 godzin dziennie, nie dłużej, jak cztery godziny z rzędu, i żeby praca ich odbywała się między 5 rano a 9 wieczorem; nie określa jednak wcale, ile godzin małoletni powinien znajdować się w fabryce. Taki sam przepis zawierało w sobie prawo fabryczne angielskie z roku 1833; w sprawozdaniach inspektorów fabrycznych z czwartego dziesiątka XIX w. znajdujemy ciągłe skargi, że je łamano na każdym kroku i że niemożliwem było skonstatować i udowodnić wszystkie nadużycia. Opierając się na tem, że nie określono, kiedy małoletni mają odpoczywać i jak długo przebywać w fabryce, przemysłowcy angielscy trzymali ich przez cały czas trwania robót, dozwalając tylko od czasu do czasu odpoczywać po kilkanaście minut. Przy takim systemacie niepodobna było sprawdzić, jak długo młody robotnik rzeczywiście odpoczywał i czy nie pracował dłużej nad 8 godzin. Żeby uniemożliwić podobne wykręty, parlament angielski musiał uzupełnić prawo nowymi przepisami, określającymi z wielką drobiazgowością, kiedy i przy jakich warunkach małoletni mogą być używani do pracy, przedewszystkiem zaś zastrzegł, że ci, którzy pracowali w fabryce przed południem, nie mogą się tamże znajdować po południu. Obowiązująca u nas ustawa nie uwzględniła tego doświadczenia angielskiego, dla tego pozwala przypuszczać, że i u nas wystąpią podobne nadużycia.

Te same uwagi nasuwają się również w kwestyi nauczania początkowego małoletnich, zajętych w fabrykach; prawo zastrzega, żeby nieposiadającym świadectw z ukończenia przynajmniej jednoklasowej szkoły, fabrykanci dali możność uczęszczania do niej w ciągu 3 godzin dziennie albo 18 godzin tygodniowo, nie wspomina jednak, czy ten trzygodzinny przeciąg czasu powinien być użyty bez przerwy, czy też w odstępach. Jeżeli przypuścimy wypadek ostatni, możemy śmiało twierdzić, że kształcenie takie nie będzie miało prawie żadnej wartości: czegóż bowiem nauczy się dziecko, które w miarę potrzeby będzie odsyłane to z fabryki do szkoły, to ze szkoły do fabryki? Że to się zdarzało, przekonywa nas przepis prawa fabrycznego angielskiego z r. 1844, które nakazuje, żeby dziecko przebywało w szkole nie mniej, niż 2½ godziny dziennie, i nie więcej, niż 5 godzin z rzędu. Należałoby także ściśle określić, w jakich godzinach powinno odbywać się nauczanie małoletnich; jeżeli bowiem fabrykanci będą ich posyłali do szkół codzień na 3 godziny dopiero po ukończeniu dnia roboczego, dzieci, znużone całodzienną pracą, będą raczej myślały o spoczynku, niż o wykładanych przedmiotach.

Te są główne niedokładności nowej ustawy; zaradzić im bardzo łatwo przez uzupełnienie odpowiednich przepisów i bardziej szczegółowe oznaczenie godzin. Dodać jeszcze należy, że ona nic nie wspomina o małoletnich, którzy ukończyli już 15 lat wieku i o kobietach, chociaż prawodawstwa fabryczne zachodniej Europy opiekują się niemi i zabezpieczają od nadmiernego wyzysku. Już sama troska o zdrowie przyszłych pokoleń powinnaby wpłynąć na poddanie kobiet pod opiekę prawa.

Niewątpliwą zaletą nowej ustawy jest to, że ona uwalnia od pracy wszystkie dzieci, niemające 12 lat skończonych i że jej siła obowiązująca ogarnia wszystkie zakła-

*) Kilka uwag o niem zamieściliśmy w nrze 29 *Prawdy* z roku zeszłego. *Red.*

1)

POWIEŚĆ O JANKU
SZEWCKIM SYNIE

przez

J. S. Wierzbickiego.

I.

Janek urodził się w mieście Zacofanem, w domku swego ojca, szewca Andrzeja, którego powszechnie nazywano łysym Andruchem, bo łysiną odkradał słońcu blaski. Domek szewca był nie wielki, otoczony maleńkiemi zabudowaniami. Okienka miał malutkie, o szybach w połowie zalepionych papierem, zapisanym (rozumie się nie przez mieszkańców domku) a w połowie mających te brudno-kolorowe ze starości i popstrzone szkła, przez które tylko biedacy widują świat w kolorach tęczy. Daszek, kryty gontami, omszony był zielonością wątpliwej barwy, a na jesień ozdobiony żółtemi, brzuchatemi dyniami, co się rozkoszowały na słońcu, poglądając z góry na te stworzenia, których nazwa w języku towarzyskim oznacza wysoką nieprzyzwoitość, a które mimo to przez przyzwoitych ludzi bywają jadane. Zresztą zwierzęta te przechadzały się z miną błogą po dziedzińcu, poruszały charakterystycznie uszami, chrząkały poufnie do wron, odbywających uczone poszukiwania owadów na ich karkach, kręciły figlarnie krótkimi ogonkami, chybiającymi celu, do którego natura je przeznaczyła ze względu na przyzwoitość, wyszukiwały resztek jadła w śmieciach, leżących przed gankiem i dowodzących instynktu czystości, rozwiniętego w mieszkańcach domku. Wabiła je na dziedzińcu kałuża błota, co na brudno odbijała w sobie nie niebo, ale smutną, zamorusaną jego karykaturę wraz ze słońcem, mającem w tem zwierciadle minę źle umytego majstra cechu kominiarskiego. O każdej porze roku można było widzieć na sznurach, rozciągniętych między odrobiną płotu, która została jako zabytek przeszłości, a resztą zabudowań bieliznę, suszącą się na świeżem powietrzu. Wiatr ją rozdymał charakterystycznie; wtedy koszule i spodnice kołysały się z niejaką powagą, okazując na sobie ciemniejsze pasy, jako ślady walki śmiertelnej, stoczonej zwycięsko z mydłem. Podługowate, różnokolorowe pantalony męzkie poruszały się żwawo z pewną junakieryą i przestraszały stojącego w pobliżu a trochę zdenerwowanego, jak widać, pod wpływem ducha czasu, koguta, co zwołał do siebie całą gromadkę pstrych kokosz, dla udzielenia im zapewne jakiejś ciekawej wiadomości. Wróble co dnia wesoło świergotały na pobliskiej lipie i kilku poziomej urody owocowych drzewkach, które stanowiły wraz z wysoką, melancholijnie szumiącą sosną, to, co nazywało się szewckim ogrodem. Między drzewami, koło domku, było kilka grząd kartofli i innych jarzyn, zwłaszcza demokratycznej kapusty a nad tem wszystkiem wznosił czoło majestatyczny, złoty słonecznik, pokusa wielka dla dziatwy. Sam zaś domek składał się z sionki i dwóch izb — roboczej i sypialnej państwa Andruchowstwa. W tej ostatniej, nad małżeńskiem łożem, wisiał obraz Matki Boskiej bolesnej, patrzącej łzawo na ubóstwo poczciwego szewckiego domku; u spodu paliła się ciągle lampa.

Janek był najmłodszym synem Andrucha, który miał dawniej liczniejsze potomstwo, bo aż dwanaście dzieci. Ten biblijny wzrost rodziny niezmiernie go przera-

dy przemysłowe, fabryczne i rękodzielnicze, bez względu na to, do kogo one należą i ilu w nich pracuje robotników. Nadto minister skarbu, po porozumieniu się z ministrem spraw wewnętrznych, może stosować przepisy prawa fabrycznego i do tych zakładów rzemieślniczych, w których to uznanem będzie za możebne i pożyteczne. Byłoby bardzo pożądanem, żeby ich moc obowiązująca była rozciągnięta na wszystkie warsztaty rzemieślnicze; nie rozumiemy bowiem, z jakiego powodu mają one mieć specyalny przywilej męczenia dzieci nadmierną pracą. Co prawda, ustawy cechowe zabezpieczają do pewnego stopnia terminatorów, nie można jednak uznać tego za dostateczne, gdyż: 1) nie wszystkie zakłady rzemieślnicze są zapisane do cechu; 2) majstrowie, chcąc ominąć przepisy na korzyść terminatorów, zyskują dla nich kartki wyrobne i traktują jako prostych robotników. Przytem i praca tu nie może być bezwzględnie uważana jako lżejsza od fabrycznej; w wielu zaś wypadkach jest daleko żmudniejszą i uciążliwszą.

Nie wspominamy o tej części prawa, która zawiera przepisy, tyczące się inspektorów fabrycznych, gdyż o tym przedmiocie była już mowa w oddzielnym artykule.

K. F.

PROTEST RUSIŃSKI.

Jednocześnie prawie i jednozgodnie, jakby na dane hasło, zaprotestowały pisma ruskie w Galicyi przeciw udziałowi rusinów w uroczystym obchodzie odsieczy wiedeńskiej. Znowu we wspólnym szeregu stanęły: świętojurski *Nowyj Prołom* i ukraińskie *Diło*, a w obu protestach z zadziwiającą zgodą powtórzono też same motywy. *Prołom*, ubolewając, że rusini wystąpić muszą tu jako sojusznicy centralistów, objaśnia krok ten wymaganiami politycznej sytuacyi, niepozwalającej im w żadnej sprawie łączyć się z polakami. Dalej jeszcze idzie *Diło*, bo przyznaje, że nawet w ogólno-sławiańskiej uroczystości rusinom—„markotno byłoby zasiadać przy jednym stole z przywódzcami polaków“, tembardziej więc nie mogą wziąść udziału w czysto-polskim obchodzie, ponieważ znaczyłoby to, że zgodzili się z istniejącym stanem rzeczy w Galicyi, że im tam dobrze i niczego więcej nie żądają.

Dziwna, zaprawdę logika! Pomijamy historyczną stronę sprawy, pomijamy tę okoliczność, że publicyści rusińscy (Kulisz i inni) uparcie rewindykowali Sobieskiego na rzecz własnej narodowości, że zresztą był on jednym z nielicznych naszych mężów stanu, którzy stosunki obu ludów oprzeć chcieli na zasadzie równouprawnienia i na pamięci jego ani jedna łza, ani jedna krzywda ruska nie cięży; pomijamy to wszystko i przyznajemy rusinom zupełną racyę nieuczestniczenia w obchodzie. Poprzednio już zabieraliśmy głos w tym przedmiocie, twierdząc, że jest to tylko święto chrześciańsko-austryackie, że niewypada nam samym wyprawiać jubileuszu swych własnych zasług, kiedy ci, którzy z poświęcenia naszego odnieśli bezpośrednio korzyść, do wdzięczności nie poczuwają się wcale. Nie chodzi więc nam o udział rusinów w uroczystości, owszem wolelibyśmy, żeby nawet polacy obeszli się bez niej, ale nie możemy pominąć milczeniem przyczyn, jakiemi pragnie upozorować swój protest prasa rusińska.

Dzienniki wszelkich odcieni politycznych zaznaczają wyraźnie, że w żadnej sprawie rusini nie mają nic wspólnego z polakami, że w żadnym wypadku nie pójdą z nimi ręka w rękę. Nawet na gruncie wszechsławiańskich interesów, nawet na bratniej uczcie miłości i zgody, byłoby im „markotno“ znajdować się razem. Jakto, a gdyby polacy w Galicyi przedsięwzięli reformy, dobro ludu mające na celu, więc i wtedy z dziecinnej racyi: „na złość mojej matce, niech mi uszy marzną“, przedstawiciele inteligencyi rusińskiej stanęliby w opozycyi. Nie—to już nie polityka narodu, broniącego słusznych praw swoich, ale bezsilne miotanie się zaciekłości stronniczej, opozycya dla opozycyi, bez idei, bez widoków powodzenia. Pojmujemy działalność zaciętą, drobiazgową, nieustępującą ani piędzi praw swoich, ani jednej litery ze swego programu—ale dla tego określić należy swe prawa, sformułować swój program. Bo i cóż to za program—walka? Walka niewiadomo nawet o co, walka będąca sama w sobie celem i środkiem, właściwa może plemionom pierwotnym, ale nie godna ludów ucywilizowanych, prowadząca do chronicznej waśni, do obustronnych gwałtów, wyniszczająca siły żywotne, nikczemna wreszcie—bo przewrotna. Dla tego zaś przewrotna, że posłowie i dziennikarze rusińscy, wykazując niejednokrotnie nadużycia ze strony polaków, na nich zwalają całą winę nieporozumienia, gdy tymczasem sami oni o porozumieniu wcale nie myślą, nie życzą go sobie pod żadnym względem. Po co więc ta komedya?

Zrozumieć można jeszcze zwolenników *Słowa* i jego programu, ci przynajmniej wiedzą, czego chcą. Można nie sympatyzować z tym kierunkiem, zwalczać go jako szkodliwy, jednak ani względnej szczerości, ani konsekwencyi odmówić mu nie podobna. Ale dla t. z. „narodowców“ usprawiedliwienia niema. Jest to po prostu polityka przywodców, polityka ludzi żądnych rozgłosu lub zysków, krzykaczy niezdolnych do żadnej organicznej działalności, do pracy wytrwałej dla dobra ludu, pokrywających swoje ubóstwo duchowe pozłotą brzmiących frazesów. *Prawda* oddawna już dobitnie zaznaczyła swe stanowisko w kwestyi rusińskiej. Występowaliśmy zawsze przeciw pogwałceniu praw narodu ruskiego w Galicyi, przeciw polonizacyi szkoły i propagandzie katolickiej, przeciw matactwom wyborczym i prześladowaniom politycznym. Nie nawoływaliśmy do braterstwa, do zlania się w jedno, bo pojmujemy dobrze, że wiekowe waśnie nie zapominają się od razu, że tylko na drodze spokojnego rozwoju, na gruncie interesów ekonomicznych ludu, możliwem jest wynalezienie jakiegoś pożycia. Stanowisko nasze zyskało kilkakrotnie pochlebną ocenę, ze strony różnych pism rusińskich, chociaż o to nie ubiegaliśmy się wcale. Mamy więc tembardziej prawo wystąpić dziś ze słowami oskarżenia. Życząc narodowi rusińskiemu spokojnego i swobodnego rozwoju umysłowego i materyalnego, zniesienia wszelkich przeszkód tamujących postęp na tej drodze, od przywódzców jego żądamy tylko, żeby nie wszczynali bezpotrzebnych walk wtedy, gdy im nic nie grozi, żeby bojowego hasła nie stawiali jako zasady normującej wzajemne nasze stosunki. Pomijając już względy własnego interesu, czyż od polaków galicyjskich lub od rusinów zależy rezerwanie — dajmy na to — nienaturalnego, ale przymusowego związku, w jakim oba żywioły zostają? Siłą okoliczności zmuszone żyć razem, razem więc pracować winny nad wyrobieniem sobie możliwie najlepszych warunków istnienia.

Z pobudek sprawiedliwości staniemy zawsze po stronie dzienników rusińskich w walce, jaką toczą o należne prawa, o rzeczywiste potrzeby swego ludu. To jest jedyna, właściwa droga do celu. Na każdej innej opuszczą ich nietylko życzliwi, ale i lud własny. Ostatnie wybory stwierdziły po części tę prawdę. Odrzuciwszy bowiem znaczną część niepowodzenia na karb nadużyć i ucisku ze strony władz, niepodo-

---

żał, tak iż w końcu biedny ojciec chodził po radę do organisty Wojciecha, pytając, czy nie zbraknie świętych w kalendarzu dla jego dzieci. Niewiadomo, co rzekł Wojciech, ale to pewna, że dyfteryt pozbawił go kłopotu wychowywania licznej rodziny, bo w krótkim czasie musiał biedny szewc obstalować aż dziesięć trumien u swego sąsiada stolarza i stojąc nad grobem swych dzieci, płakał jak bóbr, wołając, że tej „okazyi“ nigdy Panu Bogu nie przebaczy. Pani Andruchowa osiwiawszy z bólu i rozpaczy, pomawiała męża o to, iż on narzekaniem swem na dzieci sprowadził chorobę. Ocalało im tylko dwóch synów: Bartek i Wojtek, co już pomagali ojcu w robocie, tak iż Andruch zadowolony mówił do sąsiadów:

— Wychowałem galanto synów, wszak prawda? Patrzcie na nich co za skóra! Jakie szycie! Jaka forma!

Raz postanowił mieć trzynaste dziecko; owocem tego postanowienia i konkluzyą—był nasz Janek. Gdy się urodził, milczał długo z miną właściwą ludziom, czujących, iż dopuścili się wielkiego głupstwa: ani zapłakał, tak iż niepokojono się o jego życie, a zrobił tak smutny grymas, jak gdyby przeczuwał, że nigdy nie będzie dobrym szewcem. Matka, zażywszy tabaki, zapłakała nad nim, a Magda, co była przy urodzeniu chłopca, trzy razy przeżegnała się i splunęła w kącie, szepnąwszy: „na psa urok!“ Stary zaś Andruch pokiwał nad nim głową i rzekł:

— „Ej Małgoś, mały cienko przędzie, musi być niesformowany!

Ale nasz Andruch, jako człowiek, patrzący na życie z szewckiego punktu widzenia, sprawił wesołe chrzciny, uraczył tęgo gości i nawet, upiwszy się, wznosił zdrowie tych dzieci, co umarły, bo po pijanemu zawsze je sobie przypominał. Długo rozmyślano, jakie dać małemu imię; w końcu ks. Jacek, proboszcz zawyrokował, że mu będzie — Jan — w Oleju! Nie podobał się jakoś Andruchowi ten patron, to też mówił:

— Co ma być w Oleju?

Andruchowa niezmiernie kochała swego robaczka, tuliła go do piersi, jakby czując, że za mało dozna szczęścia, jakby pragnąc tyle mu dać dowodów miłości, aby mu jej starczyło na całe życie. A była to dzielna niewiasta, pracowita, gospodarna, tak, iż, rzec można, co mąż jej próżniactwem uronił, ona przysporzyła skrzętnością. Tabaka stanowiła jej jedyny zbytek i natchnienie; zażywszy ją, gotowa była walczyć nawet z piekłem! A zażywała z energią, z dużej tabakiery, stukając w nią palcami, kiedy zaś zakręciło w nosie, mówiła: „Bóg zapłać!“ zanim kichnęła. Zrana, wsunąwszy potężny niuch, hałasowała na terminatorów, na męża, który z półuśmiechem szeptał: „tabaczka działa!“ Było wiele srogości w jej obliczu, chociaż na dnie serca kryła się łagodność baranka. Andruch miał jedną cnotę rzeczywistą, chociaż nierzadką w wieku emancypacyi i tym podobnych wielkich odkryć: milczał, gdy żona krzyczała, a milczał z taką starannością, iż pani Andruchowa musiała złagodzić oblicze. Wtedy przystępowała do niego, klepała go po łysinie, mówiąc:

— Biedny mój łysy!

Andruch powtarzał:

— Hum! chwalić Boga, że łysy, gdyby nie to, byłaby moja czupryna w robocie.

Wtedy ona brała jego głowę w swoje stwardniałe ręce i kołysała ją, jak się kołysze główkę biednego, pieszczonego dziecka.

Andruch rzucał robotę i mówił do siebie:

— Tak mnie baba rozczuliła, że pójdę krzynę popłakać do Berka.

bna nie dojrzeć w tym fakcie oznak, że ludowi sprzykrzyła się już ta polityka ciągłej walki i wiecznych utyskiwań. Pomimo słabego wykształcenia politycznego, zaczyna już on dziś rozróżniać istotne swe interesy od ambitnych zachcianek samozwańczych prowodyrów. Pierwsza ta nauka poszła jednak w las. Inteligencya rusińska nie doszła jeszcze do poznania tej prawdy, że polityka, oparta na uczuciach, a zwłaszcza na uczuciach ujemnych dobrych rezultatów osiągnąć nie może. Nienawiść nigdy nie jest płodną w pomyślne skutki a poślubiona ze stronniczem zaślepieniem — gwałt tylko lub klęskę zrodzić może.

J. L. P.

TEKA NIECZUI.

I.

Pospieszamy dopełnić względem czytelników *Prawdy* obowiązku naszego co do zapoznania ich z *Teką Nieczui*. Że sprawozdaniem zwlekaliśmy umyślnie, ciekawi, jakie też zdania wywoła ta książka i jakie sprawi wrażenie. Sądząc po racach dziennikarskich, puszczanych przed narodzinami *Teki*, można jej było wróżyć wybitniejszy rozgłos i spodziewać się, że wywoła choćby przysłowiową burzę w szklance wody. Stało się tymczasem inaczej. *Teka* przemknęła przez prasę prawie niepostrzeżenie. Niektóre pisma wspomniały o niej pobieżnie, inne wypowiedziały ogólne zdanie, niektóre całkiem nawet pominęły — że już przemilczymy o krakowskim *Czasie*, przeciw którego gwardyi a raczej przeciw którego całej koteryi skierował autor *Teki* swe najzjadliwsze strzały. Jakaż przyczyna tej iście olimpijskiej ciszy? Niewątpliwie, że próżniactwo dziennikarskie gra tu niepoślednią rolę. Książka o przeszło 300 stronnicach, to dla naszych dziennikarzów, obdarzających gazety zapomocą klajstru i nożyczek — pewnego rodzaju bohaterstwo — zwłaszcza w porze letniej. Nadto dopatrzeć można i tym razem właściwej pewnym naszym pismom zasady nieporuszania tego, czego ganić nie można, a czego znowu chwalić — nie wypada... Powiadano mi także na swe usprawiedliwienie, że w części politycznej nie zawiera *Teka* rzeczy, któreby przynajmniej w Galicyi, trzeba podnosić jako nowe i nikomu nie znane. Ubolewano przytem, że autorem jej jest właśnie człowiek niezbyt sympatycznie w kraju widziany— Zygmunt Kaczkowski, słusznie ceniony powieściopisarz. Szkoda — mówiono — że nie napisał *Teki* kto inny. Byłaby ona wówczas ową skałą, której nic naruszyć nie zdoła...

Nie będziemy oczywiście zbijać tej uwagi, ale też nie będziemy mierzyć *Teki* jakimiś dawnymi błędami jej autora, zwłaszcza, że występuje on bezimiennie. Mamy do czynienia nie z p. Zyg. Kaczkowskim i jego giełdowymi interesami — lecz z jego dziełem.

Autor pragnąc zapewne, aby jego książka przeniknęła do szerszych warstw społeczeństwa, obrał dla wypowiedzenia swych myśli formę pełną wdzięku, pominął suchy wykład, rzecz całą przeprowadza w listach, pisanych barwnie z tamtego świata przez Imci pana Nieczuję do jakiegoś znajomego na ziemi — tak, że *Tekę* czyta się bez znużenia, jak utwór beletrystyczny. W liście wstępnym zapoznaje nas autor ze swemi zapatrywaniami na jego dzieło. Imci pan Nieczuja pragnie, aby *Tekę* napisał „który z przednich pisarzy polskich,“ przebywających w niebie, a przynajmniej, aby ją skorygował. Ale nadzieje zawodzą. Gdy się pokłonił Mickiewiczowi, ten go ofuknął, mówiąc: „Azaż to nie wiesz, jak mnie p. Tarnowski sponiewierał w Warszawie za to, com pisał na ziemi? Jeszczeż mi im pisma posyłać z nieba, aby się bakałarze nad niemi zdziwiali! Pisz Wasze, jako umiesz, a jak *mądrze a zacnie* napiszesz, to i tak przeczytają.“ Poszedł tedy p. Nieczuja jak zmyty. Nic także nie wskórał u księdza podkanclerzego Hugona. „A toż to Waść chyba oszalał — rzekł mu on — nam się dać korygować, którzyśmy za Stanisława Augusta albo też za Księstwa Warszawskiego pisali. Czyż to Waść nie wiesz, że to my właśnie, jakeśmy się wzięli do polerowania języka, takeśmy i barwę narodową zeń starli a niebawem już bylibyśmy i ducha narodowego zeń wypolerowali. Pisz Wasze tak, jakeś rozmawiał z sąsiady i po konfederackich perorował obozach, a na tem i to jeszcze zarobisz, *że cię każdy pachołek zrozumie*, o co też głównie dziś chodzi.“ Na przestrogę kasztelana Wężyka, aby nie napisał pamfletu, tak odpowiada p. Nieczuja: „A czyż to Jegomość nie wiesz, że każdy utwór sztuki, którego zamiarem jest wypowiedzieć prawdy polityczne albo społeczne dla żyjących pokoleń, jest pamfletem? Azaż to *Komedya boska* i *Nieboska* nie były pamfletami?“ Nuż tedy spór. Ten prawi tak, a ten owak, zupełnie jak na ziemi, tylko że tu grunt pod wszystkimi jednaki a *punctum* widzenia ojczyzna. Wyprowadza wreszcie p. Nieczuję z matni Mickiewicz, który pokazawszy się mu, lewe oko przymrużył i rzekł: „Pal Tadeuszku, jak do jasnej świecy!“ Tak tedy powstały listy p. Nieczui. „Przeczytawszy je — pisze on do swego znajomego na ziemi — zechcij skorygować, ano nie tak, jak gazeciarze krakowscy skorygowali przemowę Ojca św. Piusa do polskich pątników, że aż Ojciec św. cale z niej zniknął a jeno p. Popiel się został. Albo już lepiej wcale nie koryguj, chyba tam coś w interpunkcyi.“

List pierwszy oznaczony jest r. 1869. Rzecz dzieje w niebie. Pewnego dnia, gdy wszyscy stali w gromadkach około tronu ks. biskupa krakowskiego, napawając się wonią łąk rodzinnych, ciesząc ze swobód, jakie już zaczynają się rozpościerać po Małej Polsce oraz Rusi czerwonej, i wzdychając za porzuceniem swarów przez rodaków na ziemi, za wspólną pracą i zgodą w imię dobra kraju — nagle poczuto jakiś swąd, dochodzący z Krakowa a wkrótce całe piekło zawrzało strasznym gwarem i wrzawą. Wśród kłębów dymu ujrzano Jarosza Bejłę (Henryk Rzewuski), wywijającego maczugą i wołającego: „Widzicie dyabły, że miałem racyę! Kraj jest trupem, toczonym przez robactwo! Już się utworzyło stronnictwo w Krakowie, które się do moich zasad przyznało. Ja jego ojcem! Stronnictwo to nawet poszło już dalej odemnie, bo ja tylko z demokratów szydziłem. A pójdzie jeszcze dalej! Puśćcie mnie, nie macie prawa brać na męki, kiedym miał racyę i przyszłość wywróżył!“ Więc dyabli do niego, ale przy nim stanęło zaraz wielu jego stronników: prof. A. Walewski, Gurowski Adam, Trembecki, Poniński i cała Targowica ze swymi hersztami na czele. Wszczęła się zacięta walka. Lecz jak na psów, gdy się gryzą między sobą, spuszczono na nich upusty wód niebieskich. Zakipiało tam wtedy raz, drugi — i przez jakiś czas nie widać było nikogo; dopiero po chwili ujrzano śród cuchnących chmur Bejłę, chromającego na jedną nogę. Szedł, mrucząc pod nosem, że już w swoich *Mieszaninach* miał racyę... Ale co prawda — mówił — lepiej było zacząć i skończyć na *Pamiętnikach Soplicy*, bo już w *Listopadzie*, chociaż go p. Tarnowski za moje najlepsze dzieło uważa, nasiałem nie mało zgorszenia...

Zaledwie znikł Bejła, usłyszano wielki szum w powietrzu, i naraz do nóg ks. biskupa przypadł słynny trefniś królewski— Stańczyk. Wił się on w prochu i płacząc jak bóbr, wołał, że na ziemi nadużyto jego nazwiska. Wyprawiał wprawdzie różne

---

I szedł płakać do poczciwego żyda a powracał późno wieczorem, śpiewając lub klaszcząc w dłonie i wesoło mrugając na sąsiednie domy, które wyraźnie kłaniały mu się dachami, na co on odpowiedziałby miłym ukłonem, gdyby mógł dostać się do kapelusza lub gdyby go miał na głowie (często zostawiał w karczmie). Andruchowa patrzyła zwykle przez szpary na czyny pijackie męża; zwykle, wyłajawszy go nieco, rozbierała, choć się bronił ze stanowczością, kładła do łóżka i usypiała czule.

Tymczasem synowie i robotnicy w domu pracowali i panował ład, bo gospodyni była rozumna. Niekiedy Andruch chciał wprowadzić nowe porządki, wybijał pięścią na grzbiecie morały malcom, sam w końcu szył buty i to często do zmroku. Ale Andruchowa milczała uparcie i nie przeszkadzała mu, tak, iż zapał jego strawił się sam w sobie i w końcu wszystko szło po staremu.

Mały Janek rósł coś nieżwawo i wyglądał jak kwiat blady. Odrazu zaczął od tego, że został mazgajem; zwykle siadywał w kąciku i płakał — ot tak sobie! Matka myślała, że to robaki i dawała mu różne leki, ale to nie pomagało. Młodość jest wielką potęgą, prawda, ale nie zawsze szewckim dzieciom służy: widać wszędzie natura rządzi się pewną logiką, którą też różnie stosuje; jednym daje pełną garścią, drugim odmawia kredytu jako urodzonym bankrutom. Janek, niestety, czuł to, że mu czegoś brak było w życiu, więc grymasił. Ojciec nie znosił ani tych łez, ani szlochów; wtedy porzucał swoje złośliwe milczenie i czynnie a głośno się gniewał, upatrując chwilki, kiedy mógłby dla ulżenia swemu sumieniu choć jednym szturchańcem go poczęstować. Ale wtedy Andruchowa zmieniała swoją taktykę i jako każda niewiasta, a więc istota zdolna do domowych kwasów, wybuchała gniewem tak szalonym, iż mąż prosił i to głosem zniżonym o całą oktawę, aby miała wzgląd — nie na niego, broń Boże — ale na garnki, które wtedy odbywały najrozmaitsze ćwiczenia gimnastyczne i mogły jego łysinę wyszczerbić. Zresztą po takiej walce zwykle garncarz miejski, który wyroby swego przemysłu rozkładał na rynku, błogosławił Andruchową i już ujrzawszy ją zdaleka, wołał: „Dobrodziejka moja idzie!“ Na co ta mu odpowiadała: „Ażeby cię osłnęło!“ i kupowała nowe statki. Zwykle po takiej kłótni skazywała siebie na różne umartwienia, nawet tabaki mniej zażywała, co wywołało złośliwą uwagę męża, iż „nos jejmości z suchotami!“

Andruchowa do Janka czuła szczególną słabość, gdy go ujrzała, łagodziła wzrok surowy. A on, choć mały, choć taka mizerota, czuł jej serce macierzyńskie i klękał u jej stóp; gdy zaś zwrócił na nią oczy łzawe a modre, jak niezabudki, to w starej serce się rozpływało i nawet decydowała się mu gadać bajki. A gadanie bajek uważała za próżniactwo, tak się zawsze czegoś śpieszyła, tak jej było wszędzie pełno. Wojtek i Bartek zazdrośnie patrzyli na te fawory, jakie matka okazywała Jankowi i robili mu ciągłe psikusy, korzystając z każdej chwilki, aby mu natrzeć gruszek w czuprynie, podstawić nogę, uszczypnąć, pokazać w końcu język. To ostatnie szczególnie Janka dręczyło, czy może dlatego, że miał swoje pojęcia już wyrobione o przyzwoitości i uważał język za rzecz nieprzyzwoitą, czy dla tego, że miał go za rzecz najszkodliwszą w świecie.

(D. c. n.)

---

błazeństwa za życia, ale jego trzej królowie, którym służył, mogą zaświadczyć, że się nigdy nie naigrawał z nieszczęśliwych a zacnych... On nic nie chce mieć wspólnego z tymi tam na dole... „Masz tedy — rzecze żartobliwie Imci p. Pasek — nawet i bliźni się do nich nie przyznają!“ A na to ks. biskup: „Nie błazen to był, jeno niepospolity swego czasu moralista a filozof, cale równy Rejowi z Nagłowic. Dopiero w ostatnich czasach, gdy poczęto historyę fałszować, także i z niego błazna zrobiono.“ Wkońcu zwracając się ks. biskup do Stańczyka, powiada mu, aby został z nim na krotki czas, gdyż właśnie otwiera się trybunał na tych, którzy jego nazwiska nadużyli.

Zebranie się trybunału poprzedza podniosły ustęp, poświęcony Malczewskiemu, autorowi *Maryi*, i — jak go zwano powszechnie — Julkowi Tarnowskiemu, bratu Stanisława, zacnemu młodzieńcowi. W ustępie tym z wielką grozą odmalowana jest potworność ukazania się *Teki Stańczyka*, obrzucenia błotem i sponiewierania najświętszych uczuć — tem straszniejsza potworność, że zbeszcześciwszy ze stańczykami wszystkich, zbeszcześcił tem samem p. Stanisław Tarnowski swego brata. Autor rzecz całą przystraja w kwiaty fantazyi, opisuje wyspę pełną mogił, z błądzącymi po stepie duchami, z zachwycającym widokiem na wiecznie śnieżyste szwajcarskie góry — a którą to wyspę, „szukając swojego gniazda daleko od ziemi,“ wybrał sobie na mieszkanie Malczewski i na niej pędził dni w gorzkich rozpamiętywaniach nad losami swymi i kraju, gdzie „lampa szczęścia, co w oczach jego się paliła, zgasła i swoim dymem całą twarz zaćmiła.“ Zazwyczaj siadywał tutaj smutny nad brzegiem wody i z głęboką tęsknotą wpatrywał się w jej fale: „Może w tej wodzie jego Maryę utopiono...“ czasem znowu patrzał na owe góry, wiecznie śniegiem pokryte, a wtedy widać było na jego twarzy uśmiech zachwycenia. „z jakiem wybrani słyszą cherubinów pienia.“ Gdy Julek Tarnowski, zmuszony także „szukać swojego gniazda daleko od ziemi“ na rękach starych rycerzy został do nieba wniesiony, Malczewski wziął go do siebie. Julek żył tam szczęśliwie i spokojnie. Lecz owego dnia przed obradami trybunału, ujrzano, że zachwiał się nagle i wydał krzyk straszny, jakoby krzyk duszy do głębi rozdartej; zaś na zapytanie Malczewskiego, co mu takiego, ów krzyk straszliwy jeszcze raz się powtórzył, a nieszczęśliwy młodzieniec zawołał: „Ach, na ziemi... Ktoś plunął na moją krew!“ „Na tę krew — mówi Malczewski — któż pluje? to chyba obcy!“ A wtedy krzyk po raz trzeci się powtórzył: „Oh, nie! to *swój*...“ Potem—brzmi dalej opowiadanie — widzieliśmy Julka, siedzącego jako liść zwiędły nad brzegiem wody, trzymającego się rękami za głowę i pragnącego „uciec od rozpaczy.“ A potem jeszcze — widzieliśmy na różowych promieniach odpływające ku niebu dwa duchy...

Zbyt może obszernie traktowaliśmy pierwsze ustępy *Teki*, ale chcieliśmy zapoznać czytelników z jej stroną zewnętrzną— z formą, w jakiej została napisaną. Teraz pójdziemy już drogą krótszą, lecz za to może mniej zajmującą, bo pozbawioną efektownych opisów — drogą suchego sprawozdania.

Podczas obrad trybunału najwięcej przemawia Joachim Lelewel, po nim Ignacy Potocki, Śniadeccy i Niemcewicz, do dysputy wtrąca się także raz jeden „czuły“ Karpiński, Stanisław Kostka rzuca według zwyczaju frazes francuski i zaciera ręce, wreszcie ks. biskup krakowski zamyka posiedzenie dłuższą oracyą. W rozbiorze *Teki Stańczyka* podnosi autor, że jest ona paszkwilem na całość narodu i że jej twórcy z piekielnym podstępem wzięli się do rzeczy. Nieprzerwalność rozwoju ducha narodowego, nieprzerwalność tradycyi, stanowiącej duszę narodu, nazwano przeniewierczo „nieprzerwalnością powstania,“ zgeneralizowawszy wyjątkowe typy szubrawców; postawiono rzecz tak, jakby fundusze składkowe w naszym kraju musiały być zawsze rozkradzione. *Teka* jest podlejszych zasad, niż je miała Targowica. Podczas bowiem gdy ta ostatnia zamierzała (w jej przekonaniu) nie gubić, lecz ocalić kraj, stańczycy chcą przeciąć nić dziejowych tradycyj narodu, wyplenić miłość i ofiarność. Broszura ich, ogłoszona w epoce omdlenia kraju, była niebezpieczną i szkodliwą; dziś zaś gromadzi fakcyę, przeciwną rozwojowi ducha narodowego. Smutny to objaw, zwłaszcza w Galicyi, gdzie społeczeństwo jeszcze nie jest uformowane i dopiero je stworzyć trzeba; stan trzeci, bez którego ono nie może dojść do równowagi, dopiero się wyrabia; żydzi, stanowiący dziesiątą część ludności, *bardzo* pomału zbliżają się do niej, między rusinami a polakami wieczne zatargi i swary; miasta także dopiero walczą o swe prawa, a pod względem politycznym wielki panuje zamęt w wyobrażeniach. Jedni żądają autonomii, sami jeszcze nie wiedząc, jak ją określić; inni przyznają się do idei federacyjnej a są i tacy, co czepiają się Słowiańszczyzny. Stańczycy rozpowiadają z chwalbą, że za ich to wpływem rozstrzygniętą została na korzyść Galicyi postawiona przez rząd w roku 1865 za ministerstwa Belcrediego, kwestya zasadnicza: czy można zaufać polakom? Tymczasem rozstrzygniętą ona została za wpływem całkiem innych ludzi, a nie ich, których wtedy jeszcze nie było jak i nie było przy układach o szczegółowe ustępstwa. Nominacya namiestnikiem polaka, Gołuchowskiego, stanowczo wpłynęła na losy kraju. Oddał on sprawie polskiej, choć niegdyś dość niewyraźne zajmował stanowisko, znamienite usługi, że tylko zaznaczymy oczyszczenie Galicyi z niemców, sprawę służebnictw, piekielne źródło nieporozumień między dwiema najgłówniejszemi warstwami społeczeństwa, które usunął raz na zawsze. Jeżeli wśród rodaków, ułatwiających swym wpływem porozumienie się Gołuchowskiego z rządem w sprawie dobra kraju, znajdowali się także jacy ojcowie stańczyków, to ci zajmowali się tylko knowaniem intryg przeciw niemu, knowaniem tem fatalniejszem, że nie czynili tego z tych samych powodów, z jakich opinia publiczna odmawiała z początku Gołuchowskiemu swoich sympatyj. ale — jak powszechnie wiadomo — li tylko dlatego. że będąc namiestnikiem za Bacha, borykał się z krakowską arystokracyą. Wśród takich to okoliczności zaprowadzone zostały autonomiczne rządy w Galicyi. Wtedy stańczyków jeszcze nie było, a jeśli widać tam coś podobnego, to chyba tylko ich protoplastów, czyniących w Wiedniu wstrętne praktyki dla swej prywaty.

Wówczas jednak zjawiają się już stańczycy w literaturze i biorą w swę ręce *Czas* i założony przez nich umyślnie *Przegląd Polski*. *Czas*, dziecię oligarchów, pozbawionych ze zniesieniem rzeczypospolitej krakowskiej urzędowych pozycyj, różne przechodził koleje. Przez pierwszych lat 12, pisany lichą polszczyzną, przeżuwał artykuły dzienników francuskich, bronił władzy papieskiej, stawiał interesy kościoła nad narodowe i był tak redagowany, że gdyby kto jego część na język obcy przełożył, to czytelnik nigdyby nie poznał. że ma w ręku dziennik polski. Z początkiem manifestacyj warszawskich zmienił redakcyę i stanął po stronie ruchu, podnosząc w nim przedewszystkiem jego nastrój religijny. *Przegląd Polski* wystąpił na początek z umiarkowanie rozsądnym artykułem Ziemiałkowskiego, z patryotyczną i rozsądną (z małymi wyjątkami) rzeczą p. Tarnowskiego o ostatniej sesyi sejmowej, z gruntownym artykułem o "Rusinach" Bernarda Kalickiego. a Józef Szujski pisał tam jeszcze w tym samym duchu jak dawniej. Z *Przeglądu* przez dwa lata z górą i tylko gdzieniegdzie zawiewa duch reakcyjny — tylko w przeglądach politycznych p. St. Koźmiana mimo nieprzebranego chaosu sądów i wyobrażeń, zdradzających człowieka, który się nigdy niczego nie uczył—wyłażą na jaw drapieżne pazury. Nareszcie w lutym wynajduje już *liberum conspiro* a następnie uwiecznia się *Przegląd* wydaniem *Teki Stańczyka*. O p. St. Koźmianie wyraża się autor, że „nic nie wie o nim, jako „wzorze cnót rodzinnych i obywatelskich“ — widzi tylko, że jest to najcyniczniejszy żywioł w stańczykowskiej konfraterni. O środki tam nie pytaj, ani nawet o cele moralne — tam zawsze idzie tylko o jakiś cel namacalny...“

Stąd przechodzi autor do „materyalistów,“ rozróżniając ich dwa rodzaje: tych, co „niejako filozoficznie przyswoili sobie materyalizm i wyrodzili się w socyalne stronnictwa, niemające u nas jeszcze żadnego znaczenia, a których mimo wszelkich różnic, jakie pomiędzy nimi istnieją, można społem nazwać komunistami (?)“, i tych, co „teoryami tyle tylko się zajmują, o ile im potrzeba usprawiedliwić swoje uczynki — natomiast wyznają materyalizm praktycznie, dążąc wszelkiemi drogami i z pogardą dla wszelkich zasad moralnych tylko do tego, aby im się dobrze wiodło na świecie.“ To znaczy, że pod kategoryę poważnej filozoficznej doktryny podciągnął autor zwykłych karyerowiczów, szachrajów i lokajów, nie licząc już petrolearzy i rzezimieszków. Sądzimy, że p. Nieczuja, pisząc to, miał zamiar kandydować na humorystę — od czego nie uwalnia go nawet uwaga, że „nie mówi tu o samolubach rozproszonych po społeczeństwie, ale o stronnictwach organizujących się i o warstwach społecznych zorganizowanych pod sztandarem materyalizmu.“ Nie chcemy w tej kwestyi polemizować z p. Nieczują szerzej; radzimy mu tylko, aby na przyszłość nie pisał o tem, o czem zdaje się nie mieć pojęcia, aby rozważniej używał nazw, oznaczając ludzi oraz stronnictwa i nie łączył zwykłych *sportsmanów* karyery z ludźmi pracy i nauki, a tych ostatnich nie podciągał pod wspólny mianownik: „banda rozbójników.“ Wogóle cały ustęp o „materyalistach“ jest bałamutny, chaotyczny i zdradzający nieznajomość przedmiotu. Nikt jednak nie zaprzeczy, że mówiąc autor o „materyalistach, wyznających doktrynę praktycznie“ (czytaj: karyerowiczach) określa ich bardzo trafnie: „Wywieszają oni — powiada —sztandary głośno brzmiących teoryj na to tylko, aby opanować ster społeczeństwa, upstrzyć się godnościami, wyłowić dla siebie intratne urzędy i synekury i wypaść się tłustym chlebem bez względu na kraj. Przybierając postawę mężów stanu i mędrców narodu, w gruncie rzeczy są to ludzie oderwani od pnia społeczeństwa, bez żadnych zasad i przekonań, *nabożni* w słowach, lecz nie pobożni w uczynkach, wrzekomo stronnicy władzy, ale w istocie filary przemocy, utrzymujący się przy wpływach intrygami i teroryzmem—achatesy możnych, lokaje panujących, hyeny żywiące się trupami na narodowym cmentarzu.“

W dalszych dyalogach znajdujemy znowu określenie znaczenia politycznego stańczyków i o ile ono do dziś dnia jest widocznem. Grupa ludzi, która się zgromadziła około *Przeglądu* i *Czasu*, występowała aż do zawotowania Rezolucyi z pewną wstrzemięźliwością. Belcrediego traktowali z rezerwą, Gołuchowskiego chłodno, bo arystokracyi krakowskiej nie sprzyjał i nie dopuściłby, aby mu bruździono — wszelkie chętki tworzenia frakcyi rozbiły się stanowczo i bezpowrotnie. Dopiero ustąpienie Gołuchowskiego stało się hasłem do wyjścia stańczyków na scenę publiczną. Ponieważ zaś nie mieli ani dość osobistego zaufania, ani rozumu, ani poważnych zasług,

aby mogli zwrócić na siebie uwagę w Wiedniu, wystąpili więc z paszkwilem wrzekomo na rewolucyonistów. Tym to środkiem zamierzyli pozyskać zaufanie rządu i dworu.

Gorzkie słowa dostały się od p. Nieczui Krakowowi. Jestto „miasto a nie miasto," a świeci nad niem „słońce nie słońce," i rządzą ci, co swe konie w niemieckie ubierają chomonta. Prawie już od przeniesienia stolicy do Warszawy, Kraków przemienił się w stróża pamiątek, i przyszłości nie widzi a może i widzieć nie chce. Dziwnie cmentarna tam wegetacya i zaściankowość. Partykularyzm krakowski już arcyśmiesznym był wobec Królestwa Kongresowego, a po przyłączeniu Krakowa do Galicyi stał się istną karykaturą. Wyrodził on tę osobliwość, że każdy krakowianin, jeżeli przystępuje do jakiej roboty polskiej, to zawsze tam ma jakąś wyłączną korzyść swego miasta. W Krakowie jeszszcze się nigdy nic takiego nie urodziło, coby miało żywotność i z czegoby cała Polska miała pociechę. Nawet, jeżeli tam kiedy zabłądził człowiek z szeroką piersią, z wyższym umysłem i szlachetnem sercem, to mu cierni naścielono na jego drogę, a jeśli był taki, któremu wrogowie podali kielich goryczy, to mu do kielicha jeszcze żółci dolano.

Trybunał wyroku ostatecznego na stańczyków nie wydaje. Woli poczekać—może się zrehabilitują.

J. Z.

Z FRANCYI.

5 sierpnia.

W perspektywie. — Główna droga i uboczne ścieżki.— Cywilne państwo. — Wiara w Boga dla dobra ogółu.— Bezsilność kleru. — Święto narodowe. — Kalendarz i „przyszłe społeczeństwo." — Skrzywdzone sługi boże. — Ruiny socyalizmu. — Ironia „burżuazyi." — Niepowodzenie radykalizmu. — Nikczemna Izba.

Sporo już czasu nie miałem możności powiadamiania czytelników *Prawdy* o biegu spraw publicznych we Francyi. Wiele oddzielnych faktów z charakterem świadectw społecznych przesunęło się przez scenę, notować jednak ich dziś niepodobna — i liczba zbyt wielka i z odległości dziwnie maleją. Śmiech a zarazem smutek nas ogarnia, gdy odczytujemy zwroty dzienników pełne tragicznego ognia lub majestatycznej zgrozy z powodu jakiegoś wypadku „złowrogiego," który dziś, po tygodniu, miesiącu zaledwie, stał się drobnostką, niewartą wspomnienia.

Wieleby można na ten temat napisać pouczających uwag pod adresem pism warszawskich, które bezustannie gnębią czytelników doborem faktów w guście Kassandry i nam, oddalonym od kraju, kilka razy na miesiąc zatruwają życie, każąc wierzyć, że tam wszystkie wiązadła społeczne lada chwila pęknąć mają zupełnie. Ponieważ jednak nie jestem powołany do pouczania kapłanów opinii publicznej, więc ograniczam się na tej wzmiance i przechodzę do spraw francuskich.

Dziś, równie jak przed dwoma miesiącami, jak było przed paru laty, jak będzie jeszcze po latach wielu, główne koryto tych spraw skierowane jest ku uświeckszeniu państwa i społeczeństwa. W samem wnętrzu głównego prądu nie brak niebezpiecznych wzorów, które w Izbie występują pod postacią nieprzejednanych radykałów; po za nim i bez wszelkiej z nim łączności, jak strumyki na piaskach jałowych, dogorywają rewolucye monarchiczne i anarchiczne.

Rzeczpospolita w ciągu długiego żywota, jaki ją czeka, wiele zmian gruntownych wprowadzi niewątpliwie w budowie społecznej. Jak to tam pójdzie, czy dziś już plany gotowe, czy je przyszłość ma stworzyć dopiero, to rzeczy niewiadome; pewnem jest tylko, że wszyscy niemal z tego, co jest, zadowoleni nie są, zmian pragną gorąco i przeprowadzą je. Odradzanie się drwić sobie będzie wciąż z takich pomysłów, jak sakramentalne „przyszłe społeczeństwo" naszych np. młodych reformatorów. Według nich, życie świata przeciętem zostanie, niby jabłko nożem, na dwie części: jedna rozrośnie się w trwałe, jak wieczność, drzewo powszechnego szczęścia, druga, obarczona przekleństwem, stoczy się w wieczne zapomnienie. W rzeczywistości reformy idą zawsze w miarę dojrzewania potrzeb w łonie społeczeństwa. Dziś takim dojrzałym owocem rozwoju stała się obojętność dla niebieskiej opieki w sprawach ziemskiego padołu. To też pozbywanie się przez państwo teologicznych skorup odbywa się siłą samej konieczności.

Zwróciwszy się do życia francuskiego po dowody istnienia tego zjawiska, wpadamy w kłopot, od czego zacząć. Wszystkie państwa na świecie starają się władzę świecką ustawić w takiej odległości od ołtarza, aby jasność jego najkorzystniej oświecała powagę ziemskiego majestatu. Jedna Francya może dziś to lekceważyć. Gambettę i z powodu stanowiska, jakie zajmował, i z powodu miłości oraz zaufania, jakie żywił względem niego naród cały, i z powodu hołdu i czci, jakiemi otoczyła Francya trumnę jego, można uważać za przedstawiciela kraju, za wyraz dążeń społeczeństwa. Gambetta zaś był, jak to słusznie zauważyły angielskie gazety, pierwszym w Europie mężem stanu, wolnym od wszelkich teologicznych przesądów, lub przynajmniej pierwszym, który się nimi nie osłaniał. Chowając go, po raz pierwszy państwo w Europie nie użyło dla powiększenia uroczystości infuł biskupich i święconych kadzideł.

Wszyscy zbawcy społecznego porządku we Francyi w imię religii nie uciekają się już do cytat biblijnych, nie grożą gniewem archaniołów, nie dowodzą istnienia światów innych za pomocą cudów, lecz do odnowienia wiary wzywają w imię dobra powszechnego. Mówię tu naturalnie nie o klerykalnych pajacach, ale o istotnie czujących i szczerych ludziach (jak np. nieboszczyk Le Play, z którym postaram się kiedyś bliżej naszą publiczność poznajomić, prof. Caro, Jules Simon). Dowodzenia ich są mniej więcej takie: może cały świat biblijny jest wymysłem fantazyi, ale na nim wspiera się byt moralny społeczeństw; w imię dobra ojczyzny zaklinamy was, szanujcie go; co się stanie z masami, jeżeli im weźmiecie religię?

Przed laty kilku można się było poważnie obawiać o los Francyi. Złowieszczy cień czarnej sutanny rozpościerał się nad szkołami i coraz to więcej zdobywał sobie wpływu. Zdawało się, że wolność zakładania uniwersytetów, dana jezuitom, zatruje głowy i serca całej młodzieży inteligentnej. Tymczasem okazuje się, że wszystko to znikło, jak mgła poranna z chwilą usunięcia się protekcyi rządu. Powiadają, że katolickie uniwersytety są dziś w przededniu bankructwa zupełnego, arystokracya kładła tam miliony z tem przekonaniem, że odrestaurowane królestwo zwróci wszystko z kasy państwa. Nadzieja zawiodła i nie ma już na co prowadzić forsownego przedsiębiorstwa. Niepojęta niemal rzecz: potężna gdzieindziej władza ambony i konfesyonału tutaj zwisła bezwładnie, jak żaglowe płótno śród ciszy. Chłopi, obsaczeni klerem, wybierają wciąż do Izby, do zarządów departamentalnych i gminnych republikanów ateistycznych.

Przekonywające ma także znaczenie ton, w jakim rozbierane bywają tu sprawy religijne ustnie i piśmiennie, szczególnie jeżeli porównamy go z oględnością, praktykowaną w innych krajach, skądinąd bardzo liberalnych (Anglia).

Najbardziej jednak charakterystycznym przejawem takiego anti-teologicznego kierunku jest uroczystość 14 lipca w rocznicę zdobycia Bastylii. Jestto święto czysto obywatelskie, historyczne, narodowe i zarazem jedyne obchodzone uroczyście przez wszystkich. Wniebowzięcie, Boże ciało i t. d. świętują się tu, bo w dnie te, wedle zwyczaju, są jakieś zabawy publiczne. Nie przeszkadza to jednak, żeby jakaś zawalona robotą fabryka nie wykończała terminowych zamówień w dzień Bożego Narodzenia, lub żeby robotnicy w razie potrzeby nie schodzili z rusztowań jakiej śpiesznej budowli w niedzielę Wielkanocną.

14 lipca rzecz się ma zupełnie odmiennie: świętowanie jest powszechne, nienaruszalne i lat kilka zaledwie wystarczyło, ażeby jak niezbita potrzeba wsiąknęło ono w ciało i krew narodu.

Jeszcze raz pozwolę tu sobie zwrócić się do naszych młodocianych reformatorów społecznych. Odrzucając bez litości wszystko z naszego życia, co nie zdołało uzyskać względów ich bezwzględnej logiki i wprowadzając do przyszłego ustroju to tylko, co się zgadza z jednostronnością ekonomicznych ideałów, zapewne ani nie pomyśleli nigdy, że zmiany mogą się zacząć od... kalendarza. Tymczasem tak jest. Wielka Rewolucya widziała potrzebę tej zmiany wprzód, niż weszło w życie wiele innych pomysłów. Comte, kreśląc plany pozytywistycznych obyczajów i organizując według nich swoje otoczenie, też od razu ułożył kalendarz odpowiedni do istoty zmienionej organizacyi społecznej. Nie wyda to się tak dziwnem, jeżeli zwrócimy uwagę, jak silnie kalendarz połączony jest z codziennymi zwyczajami wszystkich ludzi, jak ciągle używalność jego może przypominać jedno lub drugie, jak z nim wiążą się przesądy, legendy, jak na jego kanwie całe życie się układa. W chrześciańśtwie nareszcie kalendarz ma moralne znaczenie, które zastąpić należy czem innem.

Każdy dzień niemal daje dowody, że we Francyi monarchiści i partye rewolucyjno-socyalistyczne dogorywają.

Pierwsi ruszają się zupełnie na zewnątrz narodu, a co wzbudza w ich kółkach zakłopotanie, radość, smutek, to ogółu nie obchodzi zupełnie. Hr. Chambord jest chory, dla Francyi to cudzoziemiec obcy; dla legitymistów i orleanistów w Frohsdorfie rozstrzygała się kwestya bytu. Kiedy naród przygotowywał się do uczczenia pamięci 14 lipca, oni z powagą największą ośmieszali siebie samych wędrówkami do Lourdes. Obietnice, groźby, umowy, jakie czyniono niebu podczas choroby „króla," budziły zdziwienie powszechne; w pierwszej chwili niepodobna było zrozumieć, czy to drwiny nad średniowieczną naiwnością, czy zaciekłość rozpaczliwa tych, co się czują *morituri*.

Podczas święta narodowego ci wysadzeni z siodła rycerze bawili się rozlepianiem karykatur oklepanej od dziesięciu lat treści; gazety ich za to zdobyły się na nowy pomysł i pocieszały się, że w tym roku uroczystość o wiele mniejsze przyjęła rozmiary, że ludność ostygła w zapałach dla rzeczypospolitej itd. Pobożne duszy redaktorów musiały liczyć, iż wszyscy czytelnicy zapomnieli o przeszłorocznych zapewnieniach; ulice miały być puste zupełnie i 27 tylko sztandarów miało zdobić mury Paryża. Nic nie może być pocieszniejszego, jak bezmyślnie automatyczne twierdzenie reakcyi o bliskim upadku respubliki. Czem trwalej się ona gruntuje, tem ton staje się pewniejszym. Kto chce nabyć pojęcia o takiej wierze w własny wymysł, niech przegląda korespondencye paryskie w *Wieku*.

Towarzyszom niedoli monarchistów — socyalistom wiedzie się równie smutnie. Kongres posybilistów, o którym wspominałem w ostatniem sprawozdaniu, względ-

dnie się udał, bo zawezwano niesocyalistyczne związki robotnicze; ale postanowiona zamiana tygodnika *Prolétaire* na codzienny organ partyi poniosła zupełną porażkę, bo gazeta po miesiącu, dla braku poparcia, upadła. Dziś pozostał jeden tylko dziennik *Bataille* Lissagaraya, o którym sami socyaliści powiadają, że nie wiadomo, co wyraża. Pisemko to istnieje na akcyach, pozostających w rękach finansistów. Czy może być bardziej gorzka ironia: *burżuazya*, która, według codziennych zapewnień, „drży,“ daje pieniądze na prowadzenie propagandy przeciwko sobie. Następny kongres marxistów nie powiódł się zupełnie, mówcy popisywali się przed pustemi ścianami i im powierzali wymowne żale nad obojętnością robotników. Rozpacz z powodu niepowodzenia popchnęła wielu przywódzców do nadzwyczajnych wybryków, a te—do kozy. Sądzono, że litość dla męczonych poruszy przynajmniej ludność; gdzie tam, litowano się tylko nad ubóstwem umysłowem Ludwiki Michel, a oburzeniem z powody wyroku tchnęły jedynie pisma *białe* z *Figarem* na czele. Mieszkańcy nawet Paryża, którzy lubili popatrzeć czasem na mowę czerwonej obywatelki, pocieszyli się już zupełnie po stracie. Najsmutniej jednak powiódł się protest w dniu 14 lipca. Zagrożono, że jeżeli wszyscy skazani w sprawach politycznych (praktyki z dynamitem) nie dostaną amnestyi, to socyaliści nietylko nie przyjmą udziału podczas święta, lecz wywieszą w oknach czarne chorągwie i odbędą procesye z takimże znakiem. Ponieważ skromne rozmiary tak zwanej partyi robotniczej (najliczniejszy odłam socyalistów) były znane powszechnie, przypuszczano więc, że to tylko pogróżki; okazało się, że rzecz się miała daleko gorzej i w kilku oknach (podobno w trzech, ale liczba ta stanowczo za mała, *Przedświt* wyraża się roztropnie „w wielu“) rzeczywiście zawisły czarne oznaki niezadowolenia. Niedość na tem, około dziesięciu tajemniczych indywiduów zbliżyło się do nowo odsłoniętej statuy Rzeczpospolitej. Jeden z nich wyjął z zanadrza czarną płachtę i chciał ją ulokować koło lwa, zdobiącego podnóże. Tłum robotniczy rzucił się w tej chwili na sprawców i na sztandar. Cały konwój umknął, ofiarą padł tylko chorąży. Sztandar, poszarpany w drobne kawałki, utonął w błocie pod nogami publiczności, a dziesiątki kułaków wznosiło się i opadało nad głową niefortunnego manifestanta. Wydobył ukrytą w kiju szpadę, ale go w tej chwili rozbrojono i tysiące okrzyków zażądało śmierci, szubienicy dla śmiałka; kilku obecnych przedstawicieli burżuazyi próbowało uhamować zaciekłość proletaryatu, ale dopiero energiczne wstawiennictwo policyi ocaliło resztki żywota nieszczęśliwej ofiary prądów społecznych. Za to w Roubaix, fabrycznem miasteczku nad granicą belgijską, udało się wywołać awanturę dosyć głośną, której epilogiem było wydalenie z granic Francyi kilkudziesięciu robotników belgów. Ostatni ten fakt byłby zupełnie pewnie zadowolił nieprzyzwyczajonych do tryumfu, a skłonnych do radosnych uniesień socyalistów, gdyby nie natychmiastowa fatalna klęska wyborcza w dwu naraz okręgach Paryża (do Rady municypalne na miejsce Bourneville'a i Lacroix).

O radykałach możnaby powiedzieć, że trzymają się bez porównania lepiej, gdyby od dr. Clémenceau'a i prof. Lannaissana można było wymagać tego samego, co od Geusda lub bisk. Freppela. Tak przecie, jak rzeczy stoją, nie ma im czego winszować ubiegłej sesyi parlamentarnej. W roku przeszłym kiedy Clémenceau na ruinach Freycinetowskiego ministeryum tryumfalnie niemal rzucił groźbę: „I z nowego gabinetu nie jesteśmy zadowoleni!“ czuć było w postawie jego siłę; dziś partya czynu, partya rządowa wzmogła się znacznie. Wszystkie pomysły skrajnej lewicy nie powiodły się, agitacya na korzyść rewizyi Konstytucyi upadła, próby wywołania wewnętrznego niełądu w gabinecie zawiodły. Ostatni wybryk jednego z członków „extrême gauche“ wywołał oburzenie całej prasy i Izby. Inżenier, znany matematyk i deputowany z Nantes, Laisant, w dzienniku swoim *La republique radicale*, w artykule *La chambre infame* zarzucił Izbie przedajność. Można sobie wyobrazić poruszenie tak dotkniętego ciała wyborczego. Na pierwszej zaraz sesyi zażądano wyjaśnień. Prezydent Brisson starał się uspokoić umysły, w sposób pełen godności wezwał Izbę, aby zimną pogardą odpowiedziała na potwarz z własnego łona, jak to codzień czyniła względem różnych pismaków. To jednak nie pomogło, zażądano od autora dowodów i nazwisk. Laisant znalazł się w kłopocie, rzucił kilka sofizmatów o swojej dwoistości literata i deputowanego a nareszcie oświadczył, że jakkolwiek dowodów nie ma, jednak wątpliwości nie ulega, że Izba jest orleanistowską. Wśród najwyższego poruszenia niejaki pan Boland, belgijczyk, w liście do *Temps* w sposób dwuznaczny, niejasny i jak gdyby cyniczny oświadcza, iż dwaj deputowani otrzymali od niego 16,000 fr. jako wynagrodzenie za jakieś starania, poniesione w sprawach finansowych, że jednak to nie było łapowe. Spadło to jak oliwa na ogień. Szeptano sobie do ucha domysły, które w gazetach znalazły odgłos i sformułowane zostały w oskarżenie przeciwko „najbliższemu otoczeniu Gambetty.“ Śmielsze nawet pisemka podały nazwiska najprzód Ranca (prezes Union républicaine), a potem Etienne i Arène; okazało się to wszystko nieprawdą. Opinia Izby zażądała śledztwa a przeprowadzenie go poruczono czterem delegowanym od czterech grup republikańskich. Dotąd rezultat niewiadomy, bo pan Boland nie chce tymczasem wskazać nazwisk. Najgorecej światła w tej sprawie domagają się gambettyści, aby wyrwać z pomiędzy siebie niegodnych członków, jeżeli takowi są. Najbardziej jednak bezstronne i niezainteresowane w sprawie pisma, jak *Journal de Genève*, przypuszczają, że cała sprawa sprowadzi się do małych rozmiarów, bo 16,000 fr. było prawdopodobnie wynagrodzeniem za tego rodzaju zajęcie, jak obrona adwokacka lub coś podobnego; czego zwyczaj najzupełniej deputowanym nie wzbrania. Nieznaczna wysokość sumy zdaje się za tem przemawiać. W każdym razie sprawa dla Laisanta skończy się źle, bo nawet przyjaciele polityczni oburzyli się na taką bezpodstawną potwarz (z dzienników jeden tylko organ Rocheforta przyklasnął); bodaj czy nie wyrodzi się konieczność złożenia mandatu. Osoby, znające bliżej L., utrzymują, że jest on gorącym patryotą i to uczucie każe mu drżeć ciągle o godność Francyi; chciałby ojczyznę swoją widzieć niepokalaną, stąd wszędzie podejrzewa skazy i radby je wytrzeć, zniszczyć. Bardzo prawdopodobnie, że w kółkach nieprzejednanych mówiono dla nadania sobie fantazyi o moralnym upadku rządowej partyi, o przekupstwie, a ten szczery człowiek wziął to wszystko za dobrą monetę i wystąpił jak Donkiszot.

Sprawa ta zajmującą jest dla nas ze względu na wspomnienie zajścia p. Kamińskiego i Wolskiego; pewnem jest jednak prawie, że skończy się ona o wiele lepiej, niż tamta. Dla Izby deputowanych jest ważną jeszcze i ta okoliczność, iż nadarzyła się sposobność wykazania przed krajem nicości oskarżeń wszelkiego rodzaju polujących na skandale pismaków.

K. T.

Z Heidelberga.

Lipiec, 1883.

Symptomata upadku Rzymu powtarzają się w naszem sąsiedztwie.—Wykopaliska greckie i licytacya w Frankfurcie n. M. — Życiorysy: Daudeta i Ibsena. — Nowe dzieło Spielhagena i o Spielhagenie. — Wspomnienie M. Du Campa. — Pamiętniki Renana i jego Kohelet.— Kaczki literackie.

Wsłuchując się w głosy publicystyki niemieckiej, niepodobna nie zwrócić uwagi na takie żale i skargi, jakiebyśmy usłyszeli z ust rzymianina w epoce upadku państwa rzymskiego, gdyby los był łaskawszym i nie poniszczył śladów trwogi ówczesnej, jeżeli zresztą przelewano ją w tej formie na papier. Gdy zapytamy dziejopisów nowszego okresu, co się przyczyniło do upadku potęgi Rzymu, to nam odpowiedzą: militaryzm cesarstwa, upadek posiadłości mniejszych, wytworzenie się tak zwanych latifundiów czyli wielkich majątków, ruina rolnictwa, pojawienie się nowej wiary, wzmożenie się napół dzikich ludów ościennych, zobojętnienie obywateli względem obowiązków krajowych itd. itd. Rzecz dziwna, bardzo podobne objawy ukazują się na widnokręgu giermańskim. Że panował militaryzm i cezaryzm, któż o tem oddawna nie wie? Że sąsiednie plemiona, szczególnie słowianie, wzrastają w moc duchową i materyalną, wiemy też o tem nie od dzisiaj, zwłaszcza wpatrując się w powolne przekształcenie Austryi na mocarstwo słowiańsko-węgierskie. A że rolnictwo i drobniejsza własność upadają, że majoraty się rozrastają, że duch obywatelski upada, że katolicyzm szerzy się w wyższych szczególnie klasach społeczeństwa niemieckiego, są to fakta mniej znane; dzisiaj więc potrącimy o nie, ile że zatrwożeni nimi patryoci niemieccy coraz częściej i głośniej o nich wspominają.

Dr. Walcker, docent nauk państwowych w uniwersytecie lipskim, świeżo ogłosił książkę p. t. *Landwirthschaftspolitik mit besonder Berücksichtigung der landwirthschaftlichen Krisis* (Polityka gospodarstwa wiejskiego ze szczególnem uwzględnieniem przewrotu w gospodarstwie). Zwraca w niej uwagę na stopniowe topienie mniejszej własności i upadek gospodarstwa wiejskiego, oraz rozrost latifundiów niemieckich. Nie on pierwszy na trwogę uderza. Znani ekonomiści niemieccy: Miaskowski, von der Golz, Roscher i inni podnosili tę sprawę niejednokrotnie w ostatnich czasach; ale wywody ich opierały się na poglądach ogólnych i teoretycznych; Walcker zadał sobie trud poparcia ich faktami i obliczeniami i doszedł do wniosku, opartego na cyfrach, że obecnie majoraty i wogóle dobra magnatów niemieckich, przewyższają stosunkowo majoraty angielskie, które dotychczas powszechnie uważano za największe. W Anglii jest wprawdzie niewielka ilość panów, posiadających ogromne dobra (taki np. książę Sutherland włada 120 milami kwadr., chociaż i austryacki ks. Schwarzenberg nie wiele mniej posiada); ale za to w Niemczech dużo jest magnatów, uposażonych dobrami dwudziesto do pięćdziesięciomilowemi, a takich w Anglii prawie niema. Jednem słowem, ogólnie rzecz biorąc, dwudziestu dwóch bogaczów niemieckich ma tyle ziemi razem, ile czterech największych magnatów angielskich, a reszta majoratami swoimi przewyższają, co do ilości, razem wzięte majoraty angielskie. Ma się rozumieć, drobna posiadłość nie powiększa się tam, gdzie są takie majoraty: przeciwnie, one ją w sobie powoli pochłaniają.

Gdy dodamy do tego niezmiernie niski dochód z gospodarstwa wiejskiego w Niemczech, wynikający z przeciążenia podatkami, służbą wojskową, z rozrostu lichwy, z emigracyi do Ameryki i wielu innych

powodów (na różnych zjazdach rolniczych stwierdzono, że gospodarstwo wiejskie niemieckie przynosi przeciętnie najwyżej 2, wyraźnie *dwa* procenty); gdy przypomnimy sobie, że panuje tu tak zwana „Freizügigkeit,“ to jest wolność osiedlania się w miastach, oraz podzielność gruntów włościańskich pomiędzy członków rodziny; wówczas pojmiemy, z jaką łatwością kapitaliści i spekulanci nabywać mogą drobniejsze posiadłości i jak chłopska siedziba tonie bez śladu w majoratach i wogóle w dobrach większych.

Nowa religia objawia się tu, jak niegdyś chrześciaństwo w Rzymie, w dwóch potokach, podmywających skałę potęgi niemieckiej. Pierwszym z nich jest socyalizm; nie będę mówił o postępach jego, bo zbyt dobrze znamy je z częstych wzmianek i rozpraw w czasopismach; drugim — katolicyzm, jakkolwiek pozornie niemiecki, w gruncie rzeczy jednak nieprzychylny państwu niemieckiemu, jako państwu, a w danym razie nietylko nieprzychylny, ale nawet niebezpieczny. Niedawne doniesienia czasopisma *Protestantische Kirchenzeitung* (nr. 15 r. b.) rzucają niespodziewane światło na upadek protestantyzmu w arystokracyi niemieckiej w bieżącem stuleciu. Okazuje się, że od r. 1880, w Niemczech i Austryi, 44 rodzin magnackich przeszło na katolicyzm; odwrotnie zaś tylko 9 przeszło na protestantyzm. W małżeństwach mieszanych: 52 panów protestanckich, mężów katoliczek, wychowało dzieci po protestancku; 41 panów katolików, ożenionych z protestantkami, ochrzciło dzieci po katolicku; 24 z arystokracyi protestanckiej, ożenionych z katoliczkami, wychowało tylko synów po protestancku; 14 z arystokracyi katolickiej, mężów protestantek, wychowało synów po katolicku; 52 panów protestantów, mężów katoliczek, wychowało wszystkie dzieci po katolicku. Wogóle tedy protestantyzm stracił dużo przez małżeństwa mieszane; prócz tego bardzo wielu jest pomiędzy panami protestanckimi, którzy tylko formalnie nie przyznają się do katolicyzmu, lecz w istocie są katolikami; ogromne obszary ziemi magnackiej przeszły w ręce katolickie; a żydzi, przyjmujący chrześciaństwo, po większej części przystępują do kościoła katolickiego.

Upadek ducha obywatelskiego wzmaga się w odwrotnym kierunku do podnoszenia się cezaryzmu, biurokracyi i militaryzmu. Liberalni, czując swą bezsilność, usuwają się z areny (Lasker, Bennigsen i inni); sejmy składają się przeważnie z landratów, oficerów i nagół z ludzi mniej lub więcej od korony zależnych; przechodzą prawa wręcz przeciwne ustawie (np. budżet dwuletni); patryotyzm zasadza się na wielbieniu istniejącego porządku i kadzeniu władzę trzymającym; historyografia przeradza się w sofistykę, usilującą dowieść, że Prusy od kolebki miały posłannictwo prowodyrstwa i że system pruski, to urzeczywistnienie idealnej rzeczypospolitej Platona.

Słowem, dźwignięty bagnetami gmach jedności niemieckiej, z pruską hegemonią na szczycie, rysuje się i pęka. Nie trzeba być ani Kasandrą, ani apokaliptykiem, aby dojrzeć, że chwila rozkwitu i zenitu jego przemija i że wkrótce albo runie, albo będzie musiał poddać się zupełnej, radykalnej przeróbce.

Nim to jednak nastąpi, to, co było i jest najpiękniejszego w Niemczech — nauka i sztuka — kwitnie i buja w najlepsze. W poprzednim liście zwracałem uwagę na uniwersalność niemiecką: dzisiaj podaję parę nowych dowodów tej, że tak powiem, rozprężności, ekstensywności ducha niemieckiego.

Wiadomo zapewne czytelnikom, ile w Europie zajęcia budziły badania archeologiczne w Grecyi i w Azyi mniejszej, ile pisano i rozprawiano o wykopaliskach Schliemanna, o Tanagrze, o Cyprze, Micenach itd. Otóż takich zapaleńców, jak Schliemann, niemało pomiędzy niemcami się znajduje. Wspomnijmy np. o Godefroy w Hamburgu, który własne okręty wyprawia na połów zabytków i osobliwości australskich. Dziś zapoznam czytelnika ze świeżo zmarłym w Frankfurcie n. M. Milanim, niemcu włoskiego pochodzenia. Zbierał on całe życie pomniki sztuki, ze wszystkich okresów i krajów, począwszy od hieratycznych egipskich, kończąc na francuskich z XVIII wieku. Zbiór jego możnaby nazwać muzeum rozwoju sztuk pięknych od najdawniejszych czasów; z każdej epoki posiadał on choć parę przedmiotów pierwszorzędnej piękności, a co najważniejsza, niepodejrzanej autentyczności. Wykształcił smak i sąd swój do tego stopnia, że rozstrzygał niejeden spór archeologiczny, a zdanie jego uważano za powagę. W czasach świetności zbiory jego dosięgły liczby 10,000 okazów, a wartość ich oceniano na milion marek. Przed kilku laty musiał sprzedać większą część muzeum, tak iż obecnie po śmierci Milaniego, pozostało około 1,000 przedmiotów i te właśnie sprzedawano przed paru tygodniami we Frankfurcie. Na licytacyę zjechali się amatorowie i delegowani od różnych muzeów europejskich w znacznej ilości. Najciekawszą i najdroższą część pozostałości stanowiły wykopaliska greckie, cypryjskie i małoazyatyckie, zebrane podczas pierwszych poszukiwań, jeszcze przed odkryciami Schliemanna w Micenach. Hiszpanie kupili najcenniejszy zabytek: posążek z terrakotty, wyobrażający młodego Bachusa, wykonany w Azyi mniejszej, wysoki 27 centymetrów; zapłacono zań 12 tysięcy marek. Jeden z naszych rodaków (któremu wiadomość o Milanim i zbiorach jego zawdzięczam) nabył posążek Afrodyty, osłoniętej poniżej torsu szatą u spodu złoconą (ślady pozłoty wyraźnie jeszcze widać), z malutkim na ramieniu Erosem, uczepionym za pukle matki, wysoki około 30 centymetrów, z terrakotty, bardzo dobrze zachowany, za 6 tysięcy marek. Statuetkę tę oglądałem w Heidelbergu; pochodzi ona z Cypru i odznacza się prawdziwie grecką szlachetnością i pięknością zarysów, nie bez domieszki jednakże wpływu oryentalnego, co szczególnie na Kupidynku widać. Własnością tegoż rodaka naszego został wybornie zachowany terrakottowy róg do picia, bardzo ładnej roboty, długości około 12 centymetrów, również cypryjski, z wyobrażeniem na grubszej części walki Chimery z Amazonką. Najnowsze badania archeologów opierając się na wykopaliskach z Tarentu, Tanagry, Cypru i Azyi mniejszej, zdają się dowodzić nieobecności pierwotnych wpływów wschodu na sztukę grecką, która — trudno temu uwierzyć — miała się samodzielnie wprzód rozwinąć, a potem dopiero, przeniesiona na grunt azyatycki, do pewnego stopnia ulega wpływowi smaku oryentalnego.

Zapewne usłyszymy więcej o tym przedmiocie na nadchodzącym zjeździe wschodoznawców w Lejdzie. Odbyć się on ma od 10 do 15 września r. b., pod kierownictwem znanych teologów i oryentalistów holenderskich. Dozy, Kuenen, de Goeje, Tiele i Pleyte składają komitet zarządzający.

Na horyzoncie literackim, jedynym może, który dzisiaj w Niemczech najmniej chmur pokrywa, pojawiają się coraz nowe gwiazdy; niektóre z nich, po bliższem rozpatrzeniu, okazują się prostymi meteorami, inne znowu kwalifikują się do szeregów trzeciej i czwartej wielkości, a niewiele z nich spotyka zaszczyt zaliczenia do stałych.

Kto niema sił i możności zostania gwiazdą, stara się przynajmniej pisać o gwiazdach. Mam na myśli dwie świeże monografie o dwóch znakomitościach współczesnych, Daudecie i Ibsenie. Pierwszą napisał Gerstmann p. t. *Alphonse Daudet*; jest to obszerny, dwutomowy, gładko i sympatycznie napisany życiorys powieściopisarza francuskiego, z wplecioną weń genezą i oceną jego utworów. Drugą ogłosił Passarge p. t. *Henrik Ibsen*. Niepospolitego tego dramaturga norweskiego, autora *Nory*, *Podpór społeczeństwa*, *Wroga ludu* i wielu innych utworów, które w niedawnych czasach wielki rozgłos autorowi zjednały i przełożone zostały na ważniejsze języki europejskie, znamy u nas, zdaje mi się, tylko ze szkicu pana W. Engeströma (Warszawa, 1875). Passarge podaje dość krótki życiorys Ibsena i szczegółowy rozbiór utworów jego. Pokłócony ten z ojczyzną swoją potomek normandów, piękną, szlachetną jest postacią. Jak Byron, nie mógł on znieść ciasnego horyzontu przesądów i mizeryi zakątka rodzinnego i opuścił kraj, posyłając mu od czasu wspaniałe obrazy dramatyczne, których główną sprężyną jest walka człowieka wyższego z parafialną i parafiańską głupotą, złością, przewrotnością i zazdrością.

Oddawna walczy z tem swojego rodzaju robactwem Spielhagen. Gdy dla Ibsena Ameryka jest jasnym punktem na świecie, dla Spielhagena wspomnienia zwycięstw demokracyi i wolności w latach 1848 i 1849 są arką przymierza i gwiazdą przewodnią. Ogłosił on niedawno bardzo zajmujące „Przyczynki do teoryi i techniki romansu“ (*Beiträge zur Theorie und Technik des Romans*, Lipsk, 1883). Cóż ciekawszego, jak słuchać artystę, mówiącego o tajemnicach własnej jego sztuki, albo takiego Littrego, który opowiada dzieje pomnikowego słownika swojego? Jako dopełnienie spowiedzi znakomitego powieściopisarza niemieckiego służyć może świeżo napisany życiorys jego przez Ziemssena (Wrocław, 1883). Zarzucić mu można chyba zbyteczną krótkość i brak szczegółów, które tak są zajmującymi, gdy chodzi o żywot ludzi niepospolitych.

Mnóstwo ich za to znajdujemy w pamiętnikach Maksyma Du Camp, które ukazywały się przez ciąg dwóch lat w *Revue des deux mondes*, a obecnie wyszły oddzielnie w dwóch sporych tomach (*Souvenirs littéraires*, Paryż. 1882 i 1883). Nie będę się rozszerzał nad temi wspomnieniami, bo przypuszczam, że czytelnicy znają już je z rozpowszechnionego u nas czasopisma francuskiego. Pełno tam zajmujących szczegółów o pisarzach i poetach francuskich najnowszej doby; zwłaszcza o Flaubercie, bliskim przyjacielu Du Campa, wyczytać tam można nader zajmujące i dość niespodziewane rysy. Autor wspomnień, czuć to z treści i zakroju, mówi prawdę, nie pozuje i nie każe nikomu pozować, sprawiedliwym i trzeźwym jest nawet względem literackich przeciwników. Wieje z opowiadań jego trochę chłodu, trochę goryczy, ale za to przekonanie, iż jest prawdomównym, wysokim dlań szacunkiem przejmuje. Jest tam parę szczegółów bliżej nas obchodzących: wzmianka o Żabie z r. 1831 (I, 45); pyszna historya o kozakach posiekanych i wyniesionych w workach (I od str. 7); przedstawienie cyrkowe wypadków polskich z r. 1831 z mitycznym bohaterem Paulińskim (I, 106); wzmianka o Dębińskim (I, 150), który uczy francuzów, aby nie krzyczeli „à bas Guizot,“ ale „vive la France;“ ciekawa anegdota o Szamilu (I, 274); o Grzegorzu XVI, który z pisarzy francuskich cenił tylko Pawła Kocka (I, 282) itd. W tomie drugim, bardziej zajmującym od pierwszego, wielce interesujące są szczegóły o Napoleonie III, o surowości cenzury za jego rządów, o natchnionym proroku Enfantinie, o literatach za cesarstwa, o upadku tego ostatniego, wojnie z Prusami i komunie. Zabawna jest tam też anegdota o Wiktorze Emanuelu i Cavourze: gdy lud włoski okrzykiwał ministra, a nie zważał prawie na króla *galantuomo*, ten, nie biorąc tego do serca, zażartował sam z siebie

mówiąc: jestem doprawdy podobny do tenora, który odprowadza do domu sławną śpiewaczkę (II, 233).

Mówiąc o pamiętnikach, niepodobna nie uczynić wzmianki o wspomnieniach z dzieciństwa Ernesta Renana (*Souvenirs d' enfance et de jeunesse*, Paryż 1883). Malują one dziwny, nieznany, nietylko nam, ale po większej części francuzom, światek bretoński, pobożny, patryarchalny, zabobonny, szlachecki, oddzielony od reszty kraju mową i obyczajem odrębnym, — coś niby Żmudź francuską. W pamiętnikach Du Campa (II, 385) wyczytujemy następne słówko Sylwestra de Sacy o *Życiu Jezusa* przez Renana. „Po co nam ta piąta ewangielia! dość mamy czterech.“ Nie zraziło to upartego bretona i w roku bieżącym, do licznych prac swoich, dołączył nową: *L' Ecclésiaste*, przekład *Koheletu* czyli *Kaznodziei*, poprzedzony znakomicie napisanym wstępem i objaśnieniami. Tłomaczenie rzuca nowe światło na zagadkowy ten utwór nieznanego autora; rozjaśnia mnóstwo ustępów, które w dotychczasowych przekładach Biblii zgoła były niezrozumiałymi. Autora *Koheletu* Renan upatruje w jakimś bogatym saducejczyku z końca II wieku przed Chr. Charakterystyka utworu jego napisana jest z nieporównanym talentem, właściwym niewielu wybranym. Po przeczytaniu jej i samego traktatu o marności świata, mimowoli rodzi się pytanie: jakim sposobem dostał się on do kanonu biblijnego? Chyba przypisanie autorstwa Salomonowi ułatwiło mu drogę.

Kończąc list mój dzisiejszy, notuję tu dwa objawy epoki ogórkowej. Nie mając pod ręką węża morskiego, puszczono w świat dwie kaczki: naprzód, że autorem dramatów, przypisywanych Shakespearowi, był kanclerz Bacon; powtóre, że w grobie Schillera w Wejmarze spoczywają zwłoki nie autora Wallensteina, ale jakiegoś męża obskurnego. W następnej korespondencyi zastanowimy się obszerniej nad temi efektownemi odkryciami; a tymczasem skarżymy się na niesłychane zimna i słoty, które nam tu, w połowie lipca, w klimacie tak zwanym umiarkowanym, życie zatruwają.

Jan Karłowicz.

LIBERUM VETO.

Prośba o milczenie.— Reporterzy zagraniczni a nasi.— Podsłuchiwanie trawy. — Na co ich Bóg stworzył. — Ofiara W. Hugo i Kraszewskiego. — Koturn i kierbcie. — Ischianie w pewnej fabryce. — Pensya dla lilij polnych i ptaków niebieskich. — Taksa narodowościowa podtrzymywana przez czechów. — Zużytkowanie zapisu Staszica. — Jego spadkobierca. — Zjazd literatów polskich i pierwsza kwestya dla obrad. — Próba przecięcia sporu. — Powrót rózgi. — Wpisy.

Moi najdrożsi, na litość przestańcie się mną zajmować aż do ukończenia sprawy, bo w tem wszystkiem, co piszecie, niema wielkiego sensu a nadto sprawie mojej szkodzi — tak w skróceniu brzmi ostatnia prośba Kraszewskiego do dzienników polskich. Ulegając tej prośbie, nie opowiem już za *Kłosami* czytelnikom moim, jako p. Kraushar bezpotrzebnie jeździł do Berlina, gdyż mu się nawet nie udało przekonać szanownego więźnia, że Goldschmidt byłby dla niego właściwszym adwokatem, niż — że tak powiem — p. Gałecki berliński — Saul. Ale nie mogę powstrzymać się od jednej uwagi. Gdy Disraeli zawarł tajemną umowę z Turcyą o Cypr i zamknąwszy ją na dziesięć kluczów w biurku, sądził, że nawet *Kuryer Poranny* niczego się nie domyśla, nagle pewnego pięknego poranku przeczytał cały akt wytrzeszczonemi oczyma w pewnej gazecie angielskiej. Krzyczał, gniewał się, nakazał śledztwo — ale wszystko to nic nie pomogło. Innego dnia znowu cesarz austryacki spostrzegł z przerażeniem, że z jego najserdeczniejszej teczki pewien dziennik węgierski zaczął drukować sobie ciekawe artykuły. Czy w pierwszym wypadku zdradził tajemnicę zecer a w drugim nieopatrznie wypróżniony kosz — mniejsza, gdyż w obu właściwym sprawcą niespodzianki był czujny i zręczny, jak wąż wślizgujący się i jak powietrze najmniejszą szparę przenikający — reporter. I my posiadamy takich dzielnych ludzi, którzy mężnie walczą o pierwszeństwo w doniesieniu, że pobór wojskowy odbędzie się w stale oznaczonej porze lub, że koleje rosyjskie mają szerszy tor od zagranicznych i którzy słyszą, jak trawa rośnie. Ale na nieszczęście, zbyt wiele siedzą w trawie. Jeżeli jakiś ślusarczyk, dostawszy od ciotki na imieniny serdelek, odważy się go zjeść w sobotę i, broń Boże, zapalić papierosa w bliskości Hipoteki, natychmiast nasi reporterzy złapią przestępcę na gorącym uczynku i oburzą się w Kuryerach upadkiem obyczajów i zepsuciem młodzieży czeladniczej, a p. Niemojowski rzewnie zapłacze w *Kaliszaninie* nad tym dowodem, przekonywającym, jak głęboko sięgnęły już „zgubne wpływy pozytywizmu.“ Ale gdy najznakomitszy pisarz polski nagle, bez widomych przyczyn, zostanie uwięzionym, ani jeden z tych, co słyszą, jak trawa rośnie, nie umie nam rozwiązać zagadki. Bardzo dobrze pojmuję, że inkwirentowi berlińskiemu nie można wsunąć kilku rubli w rękę lub jego żonie posłać zająca do kuchni i tym sposobem zdobyć akt oskarżenia; ale przecie na co Bóg stworzył reportera, jeśli nie dlatego, ażeby był ktoś, coby po drabinie z piasku umiał wleźć do nieba i wcisnąć się bez kluczów św. Piotra? Gdy Arnim został oskarżony, w kilka dni gazety niemieckie wiedziały, o co. Tymczasem sprawa Kraszewskiego ciągnie się już blisko dwa miesiące, a my dotąd jeszcze błądzimy w Labiryncie przypuszczeń: czy idzie o pośrednictwo w dostarczeniu Francyi nowego pomysłu karabinów Hentscha — jak twierdzą jedni, czy o dzieło wojskowe — jak utrzymują drudzy, czy o wybadanie twierdz — jak piszą inni, czy... czy... Panowie reporterzy! Więcej niż czterdzieści wieków patrzy na was (byli już w arce Noego), a wy nie możecie zdobyć się na to, na co zdobyła się zwykła baba— Aryadna. Czy więcej dbacie o doniesienie, który koń pierwej dobiegł do mety w Carskiem Siole, niż o to, za co cierpi schorowany, zasłużony, przez całe społeczeństwo czczony starzec?

Ileż czasu upłynęło, zanim pisma warszawskie dowiedziały się, że w wielkim grobie Ischii spoczęło kilka ciał polskich, podczas gdy „telegramy własne“ nie zapomniały donieść, że w Kasr-Farafrah jeden egipcyanin zmarł na cholerę! Biedną wyspa dostała od W. Hugo szczodry podarek z zabawnym listem: „Daję Ischii 1,000 franków. Katastrofa ischijska — to więcej niż katastrofa włoska. To więcej niż katastrofa ludzkości (!). To katastrofa powszechna (?). Jestem wzruszony. Składam mój datek.“ Liścik ten, którym Lam słusznie zapalił swą humorystyczną fajkę, przekonywa, że W. Hugo pozostał ciągle poczciwym i w swych stopniowaniach nieuważnym na ten punkt, w którym wzniosłość graniczy ze śmiesznością. Każde nieszczęście umie on odczuć, ale każde podnosi do takich rozmiarów, że je ledwie w przestrzeni mieści. Frazesy: Paryż jest sercem ludzkości, więc gdy Paryż cierpi, ludzkość cierpi — lub — boleść Murcyi jest nietylko boleścią Hiszpanii, Europy, ludzkości, lecz boleścią natury — frazesy takie są słabostkami genialnego starca. Gdy czytałem ostatnią z nich, niezmiernie mi się podobał list... Kraszewskiego, który zapytuje poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, czy ono przyjmie od niego podarki jubileuszowe. W. Hugo powiedziałby tak: Wielkopolsko, ściskam twoją rękę i kładę w nią wszystko, co mi na jubileuszu dano. Otrzyj łzy, bo gdy ty płaczesz, płacze Europa, glob, cała przyroda, przeszłość i przyszłość, ludzie, którzy pomarli, i ludzie, którzy się narodzą. Masz dopiero dziesięć wieków, jesteś młoda, przebolejesz a z twego łona wyjdzie życie. Kraszewski, który nie umie rozmawiać z planetami i stuleciami, wyraził się skromniutko: „Jeżeli panowie macie miejsce i możecie te przedmioty w jednem ustawić miejscu, to możecie je zaraz otrzymać. Czy chcecie przyjąć?“ Zapewne, W. Hugo sięga głową wysoko i przemawia do całego świata, podczas gdy Kraszewski tylko do swoich rodaków; w każdym razie koturn francuski charakterystycznie się tu rysuje obok prostych polskich kierbciów.

A jednakże... gdybym był pewnym, że W. Hugo i dla nas litość poczuje, namówiłbym pracowników pewnej, bardzo bogatej fabryki warszawskiej, ażeby się do niego zwrócili z prośbą o pomoc. Zrozumiałby ich zaś niewątpliwie, gdyby napisali: Panie, wulkan nam domów nie powywracał i ciał nie pogniótł, a jesteśmy Ischią. Fabryka, której dywidenda wznosi się czasami po nad 50%, płaci: rysownikowi 10 rs. miesięcznie, inżenierom po 50, a dyrektorom — polakom 2,000 rs. rocznie, niemcom na tych samych posadach 25,000— wtedy, gdy jeden pokój w Warszawie kosztuje 10 rs. na miesiąc a funt mięsa 15 kop. Dla moich ziomków dodam, że jest to wykaz autentyczny — rzeczywiście kopista rysunków technicznych pobiera tam tyle, ile np. roznosiciel *Prawdy*, inżenier mniej, niż reporter kuryerowy, a polak jest $12\frac{1}{2}$ razy mniej wart od niemca. Ze smutkiem wyznać muszę, że do podtrzymania tej taksy narodowościowej pomagają u nas naczelne stanowiska zajmujący czesi. Już dlaczego ci panowie tak kochają synów Germanii i pragną koniecznie obdarzyć nas temi śmieciami, które u siebie radziby wymieść — nie pojmuję. Miałżeby to być tenże sam sposób oczyszczania domu, którego lud używa dla pozbycia się karaluchów, przeprowadzając je do innego? Prawda, że cudzoziemcy bywają nieraz zdolniejsi lub wykształceńsi, ale słyszałem i o takich, którzy narobiwszy np. maszyn niemożliwych do użycia a nawet do puszczenia w ruch, musieli ustąpić miejsca inżenierom polskim —przez dyrekcyę $12\frac{1}{2}$ razy mniej wynagrodzonym.

No, ale z drugiej strony przyznać trzeba, że może właśnie taki los naszych techników wpłynął wreszcie na wyzwolenie od tylu lat w Banku Polskim pokutującego zapisu Staszica. Nie będą to domy zarobkowe, ale może też w nich znajdą korzystniejsze zajęcie rysownicy, pobierający dziś w bogatych fabrykach 10 rs. miesięcznie. Rada dobroczynności publicznej wypracowała już i ogłosiła szczegółowy projekt zużytkowania legatu, który ma uzyskać sankcyę rządową, jeśli się nie znajdą i z pretensyami nie wystąpią spadkobiercy wielkiego filantropa. Już podobno jeden się znalazł, który ma zamiar z praw swoich (pro publico bono) skorzystać. Gdybym był na jego miejscu, poszedłbym do rady dobroczynności publicznej i powiedział: „Moi panowie, albo mi zaręczcie, że ten zapis na cokolwiek poczciwego będzie użytym, albo, jak dzieci kocham, wytoczę proces o sukcesyę, a gdy go wygram, sam funduszem rozporządzę. Do kroćset Apfelbaumów najpotulniejszemu człowiekowi może zbraknąć cierpliwości.“ I dopiero wtedy bym ustąpił, gdyby mi ojcowie naszej mizeryi dali niezawodną rękojmię, że wola Staszica jakkolwiek będzie spełnioną wprzódy, nim Wenus znowu przejdzie przez słońce albo nim się odbędzie drugi zjazd literatów polskich.

Bo pierwszy już stanowczo zapowiedziany na połowę września w Krakowie — jeżeli, naturalnie, nie rozbije go walka o prezesowstwo i mandaty. (Właściwie o te ostatnie zetrzeć się mogą tylko zapaśnicy Galicyi i Poznańskiego, bo stałym, bezspornym reprezentantem literatury polskiej na Królestwo jest p. W. Szymanowski). Ponieważ komitet urządzający (uroczystość) wezwał braci do nadsyłania mu materyału dla rozpraw, więc *Kuryer Codzienny* podniósł kwestyę, mianowicie: czy wolno *K. Warszawskiemu* przedrukowywać bezpłatnie i na kilka dni wcześniej te same fejletony Lama z *Gazety Lwowskiej*, za które *Codzienny* płaci — tem bardziej, że p. W. Szymanowski jest nietylko generalnym reprezentantem literatury polskiej, ale nawet raz posłał kilkadziesiąt franków Erckmanowi-Chatrianowi za przekład ich powiastki? Niezależnie od przyszłego wyroku w tym sporze, robię próbę pogodzenia przeciwników uwagą, że owe fejletony Lama są tak liche, iż jeden nie ma czego, kraść, a drugi kupować.

Rozpoczynający się rok szkolny przypomina potrzebę myślenia o wpisach dla niezamożnych. Prawda zacni czytelnicy, że im i tego roku nie odmówicie swojej pomocy?

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Rozpuszczanie się skrystalizowanych pojęć. — Operacya nowonabywcy. — Policzek miński pseudo-adwokatom. — Wodzenie za nos i wynikająca stąd obfitość gruszek i jabłek. — Stosunek „separacyjny" i serdeczny. — Środki zaradcze kijowskiego komitetu budowniczego.—Przyszła zdobycz dla British-Museum.—

W kraju, który dla ludzi wschodnich jest „zachodnim," istnieje osobna klasa rolników, czynszową szlachtą zwana. Składający ją gospodarze prawem dzierżawy wieczystej siedzą na małych kawałkach roli, za którą opłacają czynsz większym posiadaczom ziemskim. „Są np. majątki, powiada *Echo*, w których jedna połowa, przypuśćmy 1.500 dziesiatyn, jest w posiadaniu właściciela, drugą zaś połowę takiej samej rozległości mają w swem posiadaniu czynszownicy, którzy płacą *czynsz mały*... Niemoże więc właściciel takiego majątku *obojętnie patrzeć* na to, że jedna połowa jego własności przynosi mu znakomity dochód, druga zaś, zupełnie co do wartości podobna, przynosi mu zaledwie dziesiątą część dochodu pierwszej." Ów brak obojętności na małą opłatę dzierżawną zrozumieć łatwo: ideałem naszej chwały narodowej są od pewnego czasu... znakomite dochody. Wprawdzie słuszność i tradycya Statutu Wiślickiego sprzeciwiają się podniesieniu czynszów, ale kwestya „znakomitych dochodów" nie jest przecie jakimś obiadkiem sąsiedzkim, aby się tam rozczulać nad tradycyą. To też miejscowi „obywatele" literalnie pławią się teraz w niezgłębionym morzu procesów i zatargów z biednymi czynszownikami. Tą drogą zapragnął pójść i jeden nowo-przybyły, p. Tereszczenko z Kijowa. Okazało się, że obywatel Tereszczenko wcale nie jest tak słodkim, jak biały produkt, wyrabiany w sławnych jego cukrowniach. Krezus kijowski, przejąwszy się prędko tradycyą „znakomitości," chciał wyrzucić ze swoich dóbr jakiegoś biednego czynszownika—szaraczkową latorośl szlachetnego rodu Kamińskich; latorośl jednak trafiła aż do senatu, który p. Tereszczence prawa eksmisyi odmówił. Najsmutniejsze to, że wyrok swoj senatorowie poparli uchwałą Statutu Wiślickiego, o którym cukrowemu władcy nigdy żaden *uriadnik* nic nie mówił. Tryumf czynszownika nabawił nasze pisma radosnego zawrotu głowy. Podobało się im w tej całej sprawie, jak myślę, najwięcej to, co pana Tereszczenkę najbardziej zasmuciło. Oddawszy cześć należną pamięci Kazimierza Wielkiego, odważę się jednak spytać naszych kierowników opinii, z czego się właściwie cieszą?

Pod względem praktycznym zwycięstwo Kamińskiego niema wielkiej doniosłości. Podwyższenie opłaty do skali praktykowanych *dzisiaj* opłat dzierżawnych będzie dla czynszownika taką prawie klęską, jak wywłaszczenie: z posiadacza opłacającego tylko pewien podatek stanie się on zwykłym dzierżawcą. Warunek *wieczystości* musi być wtedy dla niego obojętnym, a ewentualnie — uciążliwym. Co do zasad teoretycznych, to właścicielem roli jest albo: nowonabywca, albo ci, co ją od wieków uprawiali. W pierwszym wypadku p. Tereszczenko ma prawo robić ze swoją ziemią, co mu się podoba; w drugim — wszelki czynsz dzierżawny jest wyzyskiwaniem. Spółczesne istnienie stosunków *pośrednich* dowodzi tylko, iż żadna z form krańcowych nie jest doskonałą.

Korzystając zapewne z tych nieokreślonych jeszcze pojęć i poglądów, jakiś kolega p. Tereszczenki—nowo-kreowany „obywatel zachodni" postanowił przyczynić się do wyjaśnienia sporu za pomocą zwykłego szwindla. Grodzieński korespondent *Wieku* opisał dość szczegółowo czyny tego bohatera. „Włościanie pewnej wsi kupują od jednego z nowonabywców kawał rozparcelowanego folwarku i należną kwotę pieniężną składają na ręce swego prawnego opiekuna. Tymczasem powstają pewne trudności przeprowadzenia ziemi w prawne posiadanie nowych nabywców. Po długich zachodach, kosztach i prośbach dowiadują się włościanie, że ktoś za nabytą przez nich ziemię daje o wiele więcej i że ich prawny opiekun nie omieszkał donieść o tem uprzedniemu a dotąd „prawnemu" właścicielowi gruntów, który, pochwyciwszy pewną sumkę banknotów, ulotnił się w rozległych rodzinnych przestrzeniach między Dźwiną i Wołgą. Zawiedzionym pozostaje do wyboru powtórne opłacenie faktycznie kupionej i zapłaconej ziemi, lub pozostanie bez niej."

Ta niezbyt kunsztowna opowieść o *pozostającem* do wyboru *pozostaniu*—jest uzasadnieniem słusznych zażaleń korespondenta na plagę „pokątnych doradców." Granice tej klęski na Litwie są o wiele obszerniejsze, niż w Królestwie. Po dowody pójść możemy np. do Mińska, którego stan „pseudo-obrończy" otrzymał teraz od *Gazety Polskiej* potężny policzek. Wszyscy samozwańczy adwokaci białoruskiego grodu tak dalece zmieszani zostali z błotem, że w całej Świsłoczy nie znalazłoby się dość wody na ich obmycie. Ani insygnia przed-adwokackiej karyery nie uchroniły tych markietanów Temidy od ciężkich, bardzo ciężkich zarzutów korespondenta. Jeżeli mu wierzyć możemy, to źródło ich „zarobków" jest gorzej niż mętne. Ciemnota miejscowej, ba i okolicznej inteligencyi mętów owych oświecić i wykazać nie umie. Czegoż można żądać od miasta, które obok 60 tysięcy mieszkańców posiada *jednego* tylko prawdziwego adwokata i jaki zresztą zarzut można uczynić tej wielotysięcznej ludności, która pozwala się wodzić za nos dymisyonowanym czwartoklasistom-prawnikom?

Przenosząc się na prawach feljetonisty z Mińska do Łęczycy, zapytam sławetnych jej obywateli, dlaczego dają się wodzić za nos swemu proboszczowi. Do podobnie śmiałej indagacyi nie posunąłbym się może, gdyby mię nie upoważniła do tego lojalna, jak wiadomo, *Gazeta Polska*, czerpiąca swą wiadomość z ultra-lojalnej *Gazety Świątecznej*. W mieście tem, ze składek publicznych został wyrestaurowany kościół po-bernardyński oraz część budowli klasztornych, przeznaczonych dla księdza i służby kościelnej. Plac przed kościołem wysadzono lipami i kasztanami, nie zapomniano i o ogrodzie owocowym, przy urządzeniu którego zasadzono 300 sztuk nowych drzewek. Korespondent utrzymuje, że od ogrodu zaczęto i że największa stosunkowo część składek została na to użyta. Czy nie za wiele pamięci o ogrodzie?

Co do mnie, to zawsze byłem zdania, iż na uprawianym u nas tradycyjnym gruncie pobożności najlepiej się hodują gruszki i jabłka proboszczów; fakt zaś powyższy zaznaczyłem tylko dla tego, aby go przesłać pod adresem naszych dozorów kościelnych. Jakkolwiek bowiem święci pańscy żywili się głównie owocami i korzonkami: to jednak ta ich dyeta nikogo na straty nie narażała.

Na niezaradność dozorów kościelnych narzeka również niejaki Chała, inny korespondent *Gazety Świątecznej*. Skarga dotyczy „protektorów" kościoła we Wrocieryżu (pow. jędrzejowski). „Z poprzednim dozorem kościelnym doznaliśmy zawodu, nowy zatem obrano; parafia uchwaliła 2000 rs. składek na odnowienie kościoła i gospodarze płacili; nie upłynęło pół roku a mieliśmy już sprowadzone wapno, cegłę, drzewo i deski, z robotami jednak stanęło. Stanęło dlatego, że się znalazło pięciu takich, którzy nietylko sami nie płacili składek, ale i przeszkody stawiać poczęli. Żądali oni, żeby paru z nich powołać do dozoru, a zaraz zacznie się robota. Siedem miesięcy już upłynęło i choć wybrani zostali, roboty żadnej..." Owszem: o ile wnosić można z naiwnych zeznań Marcina Chały — zaraz po robotach rozpoczęła się „robota" koło zebranych... rubli. Takiemu właśnie gorącemu rozmiłowaniu się w pracy przypisać też trzeba uporczywe stawianie swojej kandydatury przez owych pięciu „niezwyciężonych."

Korespondencya Chały daje *Gazecie Polskiej* powód do utyskiwania na temat „separacyjnych stosunków między dworem i chatą." Nie wierzyłem ci ja nigdy w harmonię sprzecznych interesów, pomimo to jednak dorzuciłbym chętnie parę łez do urny *Gazety Polskiej*, gdyby nie pewna okoliczność. Oto w skład kościelnego dozoru w Łęczycy weszło na prośbę administratora aż czterech przedstawicieli okolicznej *inteligencyi*, a jednak skutki jej mądrych rad oceni sam tylko proboszcz — i to zaledwie w porze dojrzewania gruszek i jabłek...

Jakiekolwiek środki przedsięweźmiemy dla zapobieżenia smutnemu stanowi rzeczy—w skuteczność ich pragnąłbym wierzyć więcej, niż to uczynić mogę odnośnie do „sposobów," praktykowanych przez administracyę budowniczą w Kijowie. Niedawno, jak donoszą gazety, opieczętowała ona *dach* na jednej z miejscowych kamienic. Przyczyną oryginalnej manipulacyi było to, że właściciel budynku, rozpocząwszy reparacyę, rozszerzył się cokolwiek nad pierwotnie zatwierdzone plany. Jeżeli obwiniony obywatel po zdjęciu pieczęci zachowa je skrzętnie i sprzeda później anglikom, to z pewnością, obok niespożytego rozgłosu, pozyska znaczną fortunę.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 15 sierpnia.

Rewolucya w Hiszpanii. — Charakter ostatnich rozruchów ludowych. — Powody dymisyi hr. Potockiego.

Wiadomości o przywróceniu spokoju w Hiszpanii okazały się przedwczesnemi. Wprawdzie powstańcy opuścili Badajoz, ale jednocześnie wybuchły rozruchy w Katalonii i Starej Kastylii, w których główny udział przyjęło wojsko. Biuletyny urzędo-

we o każdym z tych wypadków twierdzą, że powstanie zostało stłumione, inaczej wszakże mówią doniesienia prywatne. Bądź co bądź okazało się, że rząd króla Alfonsa opiera się na bardzo słabych podstawach. Ruch nosi charakter wybitnie republikański, kieruje nim Zorilla i inni wychodźcy, przebywający we Francyi. Propaganda republikańska przybrała szerokie rozmiary w armii, zwłaszcza między oficerami. Jest to symptomat groźny, jeśli bowiem obecne pronunciamenta nie udały się, to tylko dlatego, że wybuch nastąpił zawcześnie, bez uprzednich przygotowań i jednozgodności w działaniach. Wobec zbliżenia się rządu hiszpańskiego do Niemiec, prawdopodobnem wydaje się przypuszczenie, że republikanie francuscy jeżeli nie wywołali ruchu, to w każdym razie umaczali palce w tej sprawie. Ostatnie depesze donoszą o rewolucyach w Sewilli i Kordubie.

Rozruchy ludowe skierowane przeciw żydom przekroczyły również zwykłe granice, tracąc wyznaniowy a przybierając coraz wyraźniej socyalny charakter. W Ekaterynosławiu tłum napadł na żydów, przy uśmierzaniu jednak zaburzeń, jak donoszą gazety rosyjskie, były wypadki ostrego starcia z policyą i wojskiem. Zabitych po ostatecznem sprawdzeniu okazało się 17, ranionych zaś ciężko 28. Oprócz tego kamieniami raniono 40 żołnierzy, 4 oficerów i jednego urzędnika policyjnego. Naoczni świadkowie utrzymują, że masy działały pod kierownictwem przywódzców, zauważono nawet zewnętrzne insygnia, w rodzaju sztandarów itp.

W Peszcie zaburzenia miały zrazu wyłącznie antysemicką barwę, ale w następstwie przeszły w ruch ogólno robotniczy. Tutaj dochodziło już do formalnych potyczek z wojskiem. Strzelano z obu stron, ale dotychczas straty nie są jeszcze obliczone. W fabryce Ganza zrewidowano robotników i przy wielu z nich znaleziono broń palną, również na ulicach aresztowano wielu ludzi uzbrojonych w sztylety. Na bulwarze Józefa tłum rozbił nawet oddział policyi i zmusił ją do ucieczki. 13 sierpnia miasto uspokoiło się; zdawało się, że rozruchy ostatecznie zostały stłumione, ale 14 wybuchły znowu.

Natomiast w Wiedniu ruch nosił wybitnie socyalistyczne cechy, bez żadnej albo z bardzo małą domieszką antysemityzmu. Za powód do wystąpienia posłużyło zamknięcie jednej gazety, broniącej praw proletaryatu, wogóle jednak chodziło głównie o zaprotestowanie przeciw samowolnym rozporządzeniom policyi, gwałcącym zapewnione przez konstytucyę swobody obywatelskie. Na Schottenringu przed gmachem policyi zebrało się kilka tysięcy osób. Manifestacya rozpoczęła się od kociej muzyki. I tu, jak zresztą wszędzie, policya znalazła się nietaktownie, rozpędzając w brutalny sposób zgromadzonych. Rozwścieklony tłum osypał zbyt gorliwych stróżów bezpieczeństwa publicznego gradem kamieni. Policya i wojsko, które spiesznie przybyło jej na pomoc, odpowiedziały wystrzałami. W rezultacie kilkadziesiąt osób zabitych lub ciężko rannych, między nimi wielu niewinnych zgoła przechodniów.

Dzienniki niemieckie zajmują się znowu gorąco kwestyą uzbrojeń rosyjskich. Roboty około fortów w Królestwie, dyzlokacye wojsk itp. troskliwie są notowane. Powód do tych obaw wojennych daje dymisya hr. Potockiego. Były namiestnik posiada, jak wiadomo, ogromne dobra w Rosyi. W razie jakichkolwiek zawikłań pozycya jego byłaby nader drażliwą i ilekroć razy stosunki dwóch państw naprężały się, Potocki prosił o uwolnienie go ze stanowiska. Odwracając kota ogonem; politycy wnioskują, że ponieważ hr. Potocki podał się obecnie do dymisyi, więc alternatywa bliskiej wojny jest bardzo prawdopodobną.

CUDZE GŁOSY.

„Fakcyjna“ opozycya. Przez długie lata majoryzowana ludność czeska dobiła się wreszcie, mimo niekorzystnej dla siebie ordynacyi wyborczej, większości w sejmie krajowym. Większość ta nie wyzyskuje jednak przewagi swej w celach samolubnych, jak to czynili wprzód niemcy, przeciwnie dąży do zgody z ludnością niemiecką, jak świadczy o tem list dra Riegera, wystosowany do klubu posłów niemieckich z polecenia klubu czeskiego. „Fakcyjni“ opozycyoniści nie chcą jednak ani myśleć o zgodzie, o czem zdajemy sprawę na innem miejscu. Sprzeciwiają się nawet uznanej przez wszystkich za konieczną reformie ordynacyi wyborczej a sprzeciwiają się tylko dla opozycyi, bo przeciw wywodom dra Riegera nie potrafili przytoczyć ani jednego poważnego argumentu. Z przemówienia głównego rzecznika większości czeskiej w tej sprawie, przemówienia iście riegerowskiego, dającego próbkę walk, które nieustannie staczać muszą czesi z niemieckimi przybyszami w swoim własnym kraju—podajemy tutaj parę ważniejszych ustępów:

„Nie chcę zapuszczać się w wyszczególnianie wszelkich niesprawiedliwości ordynacyi wyborczej. Dla przykładu podniosę tylko, że okręg wyborczy dra Herbsta (przywódcy fakcyonistów) liczy zaledwie 41 wyborców, okręg zaś posła Zeithammera (czecha) — 318. Toż to chyba gwałtowna różnica! Jeżeli Liberec (miasto niemieckie) wybiera trzech posłów do sejmu a ma 28,000 mieszkańców, Pilzno zaś na 29,000 ludności ma jednego tylko posła—czyż nie jest to rażąca niesprawiedliwość?

Nie wchodzę w dalsze szczegóły. Zaznaczyłem już, że ordynacya wyborcza nie ma być w tym celu robiona, ażeby jedna albo druga narodowość zyskała większość. Chcemy dla każdej równą mierzyć miarką, bez względu, jaki będzie wynik.

O teraźniejszej ordynacyi, ustanawiającej podział na kurye, powiedział dr. Herbst w swoim czasie, że nie jest liberalną i postępową. Czemuż więc, moi panowie, nie zreformował jej, kiedy miał do tego najlepszą sposobność, kiedy stał u steru władzy w roku 1872 i 1873? Wtedy nie nadawało się to do jego politycznego systemu!.. (Wybornie! z ław czeskich).

Wskazywałem już, że pewne koła dążą do hegemonii niemieckiego żywiołu w Czechach. Tego, panowie, przecież nie zaprzeczycie. Na czemże—pytam—ma się oprzeć ta hegemonia? Czy jesteście bogatsi, inteligentniejsi? Czy ze szlachetniejszej pochodzicie rasy? Chyba nie istnieją takie powody. Hegemonia nie jest rzeczą ustawy, ani ordynacyi wyborczej, jest rzeczą talentu i większej inteligencyi. Jeżeli naród niemiecki większą inteligencyą nas prześcignie, przywództwo samo przez się mu przypadnie a my będziemy musieli iść za nim, czy chcąc, czy nie chcąc. Ja jednak ufam memu narodowi, że nie pozostanie w tyle i że co do działalności umysłowej dorówna niemcom.

Powiedziano, że jesteśmy wrogami jedności rządu. Kiedyż i gdzie zaznaczyliśmy to? Plener wołał na nas szyderczo: „Nie jesteście przecież centralistami!“ Tak, nie jesteśmy centralistami z pewnością, ale czyż ten, co nie jest centralistą, musi już być równocześnie przeciwnikiem jedności w zarządzie państwa? W Anglii nie występuje żaden rozsądny obywatel przeciw jedności zarządu, a przecież cieszą się tam szeroko pojętą autonomią.

Jeszcze o dwóch punktach wspomnę. Wypowiedziano tu myśl podziału Czech na dwie części: niemiecką i czeską. Herbst miał wtedy wielki przestrach śród nas zauważyć. Moi panowie, wręcz powiadam, że myśl tę wyśmiałem, bo jest ona wprost potworną i niepodobną do wykonania. Nietylko w pojedynczych okręgach, ale i w każdej gminie pomieszane są obie narodowości. Tak jest nawet w pojedynczych rodzinach.

Dr. Schmeykal zapewnił wreszcie, że czescy niemcy nigdy nie wypierali się miłości do tego kraju. Zapewnienie to ucieszyło mię mocno i życzę, aby było prawdziwe. Żałuję tylko, że wielu jest w tym sejmie, którzy życzeniu temu nie odpowiadają. Przypominam dzisiejszy wasz wykrzyk: „My jesteśmy tylko austryakami, tj. my nie jesteśmy czechami!“ Ubolewam nad nim z głębi serca. Pod tym względem nie podzielimy nigdy waszych przekonań, bo nie możemy zapominać przesławnych dziejów naszego kraju, nie możemy zapominać dzieł naszych przodków. Kraj, który nas zrodził, będzie zawsze naszą drogą ojczyzną! (Wybornie!) Niemniej jednak jesteśmy dobrymi austryakami. Z radością wspominam czasy, w których poeci niemieckiego pochodzenia opiewali dzieje kraju naszego i nie zapominali nigdy, że są czechami. Życzę wam, panowie, abyście i wy zajęli to stanowisko. My weszliśmy na drogę pojednawczą a mam nadzieję, że przy uczciwych naszych a wytrwałych usiłowaniach, zgodę z wami przywiedziemy do skutku.“

Iluzya!...

Rozwód. Mieliśmy już niejednokrotnie sposobność wypowiedzieć nasze zapatrywanie o całej niewłaściwości związku, zawartego pomiędzy stronnictwem ukraińskiem a partyą świętojurców w Galicyi. Staraliśmy się wykazać, jak dalece sojusz ten szkodliwym być może dla sprawy ruskiej, zwłaszcza pod względem moralnym. W tym bowiem iście kazirodnym stosunku wcale nie trudno zaginąćby przyszło idei odrębności, którą rycerze św. Jura gaszą przecież stanowczo. Mezalians ten nie ma zresztą silnych podstaw, węzły małżeńskie — chociaż ukrywa się to starannie — pękają co chwilę i niezbyt trudno przyjść może do rozwodu. Świadczą o tem liczne objawy, chociażby tylko następujący, ogłędnie napisany artykuł *Nowego Prolomu*, organu „Russkoj Rady.“

„Z prawdziwym żalem musimy zaznaczyć, że zawsze jeszcze znajdują się u nas ludzie, podtrzymujący dawny antagonizm i objawiający swój rzekomy patryotyzm w rozwijaniu akcyi przeciwko „Towarzystwu im. Kaczkowskiego,“ *Prolomowi*, *Słowu* i *Nauce* (instytucya i pisma rusofilskie). Nie sprawia nam to najmniejszej przyjemności pisać o tem i podnosić wobec silnego i potężnego przeciwnika zasłonę, pokrywającą nasze słabe strony. Milczeć jednak nie możemy. Pojmujemy teraźniejszą sytuacyę tak, że nam należy podtrzymywać i wzmacniać wszystkie nasze instytucye i gazety, chociażby komuś zdawać się mogło, że wskutek podkopywania jednego towarzystwa i agitacyi przeciw tej lub owej gazecie, inne towarzystwo lub pismo cośkolwiek zyska.

Podkopywanie Towarzystwa Kaczkowskiego i polecanie na jego miejsce drugiego (Proświta), systematyczna agitacya przeciwko jednej gazecie a wychwalanie drugiej — wszystko to jest dowodem nietolerancyi i zawiści, których następstwem może być nietolerancya i zawiść z drugiej strony. Takie zresztą wzajemne nieporozumienia wcale nie pomogą sprawie narodowej (czyżby ta sprawa narodowa miała być jedną i tą samą dla partyi *Prolomu* i dla stronnictwa ukraińców?—*Red.*) a przyniosą korzyść tylko „Macierzom“ i „Oświatom“ i polskim lub niemieckim pismom...“

Prolom nie chce widocznie zrozumieć tego, że niekoniecznie przechodzić potrzeba do obozu polskiego i „Macierz“ popierać, a być mimo to lepszym od nielicznych polityki jego zwolenników rusinem.

Zadąsana neutralność. Co to jest? Jest to stanowisko, jakie zajęła ostatnimi czasy szlachta galicyjska względem austryackiego rządu. Tak przynajmniej twierdzi *Czas*, mówiąc, że obywatelstwo wiejskie nie myśli wcale o opozycyi przeciw rządowi. Jest ono niezadowolone jedynie z powodu wysokich podatków, atoli o oporze wcale nie myśli.

„Konserwatyzm szlachecki — mówi organ księży i szlachty krakowskiej—nie chce atakować i nie chce bronić gabinetu; pragnie pozostać na wygodnem stanowisku zadąsanej neutralności.“

Dziwna zaprawdę polityka! Jest ona równocześnie sobkowską i wręcz idyotyczną, dobrze tylko, że nie stanowi wyznania wiary całej szlachty galicyjskiej a jedynie *Czasu* i jego nielicznych już zwolenników. Słusznie też mówi *Nowa Reforma*:

„Tak źle nie jest. Jeżeli przy ostatnich wyborach w wielu okręgach dawni przyjaciele opuścili *Czas*, który tak dalece identyfikuje się z rządem, że uważa to jako „zadąsanie się“ szlachty na rząd — to wiemy, co o tem myśleć i jakie są tego przyczyny. Odkąd w sejmie z rządu i ze stronnictwa *Czasu* wyszła myśl zidentyfikowania się całego kraju raz na zawsze z rządem i z *każdym* rządem, tak, aby w nim utonął samorząd, odkąd jako patryotyczny obowiązek nam postawiono, bez krytyki przyjmować i popierać wszystko, co ten rząd nam zaproponuje, co postanowi i zdziała, odkąd się obywatelstwo przekonało, że idąc drogami, przez *Czas* i jego stronnictwo wskazanemi, zaprzepaściłoby się w końcu nasze autonomiczne i narodowe stanowisko — odtąd odwróciło się ono od *Czasu* i odwracać się od niego będzie coraz bardziej.

Obywatelstwo nasze wie, że nie według „paletu egzekucyjnego“ ma wybierać swoje wobec rządu stanowisko, wie też, że „zadąsana neutralność“ nie jest żadną polityką. Jest nią zaś zachowanie stanowiska samodzielnego, z którego nigdy i wobec żadnego rządu schodzić nie możemy.“

Nieprzejednani. Śród największego w sejmie czeskim i całych Czechach rozdrażnienia z powodu rozprawy nad reformą wyborczą i petycyami spółek teatralnych, którym—zarówno czeskiej, jak i niemieckiej — odpowiedzi udzielono odmownej, klub posłów czeskich postanawia wystosować do niemieckiego list, w którym proponuje wybranie komitetu, z niemców i czechów złożonego a mającego obmyśleć sposoby pogodzenia zwaśnionych narodów. Pismo rzeczone, zredagowane przez dra Riegera, brzmi:

„Równouprawnienie narodowe zastrzeżone jest konstytucyą, atoli do wykonania tej zasady potrzeba jeszcze dalszych kroków, zwłaszcza w Czechach; brak bowiem pewnych ustaw w tym kierunku podaje z jednej strony powody do utyskiwań, z drugiej dozwala jednej z narodowości brać górę nad drugą. Aby zapewnić krajowi trwały spokój i zgodę, potrzebny jest swobodny obustronny układ, który może następnie, przeszedłszy do sejmu, stworzyć prawomocną jego uchwałę. Dla zabezpieczenia narodowych i społecznych interesów posłowie czescy proponują głosowanie wedle kuryj narodowych. Gdyby zaś niemiecy ofiarowali gwarancyę odmiennej natury, jesteśmy gotowi wziąć ją także pod rozwagę. Stawiamy więc propozycyę itd.“

Na pełne pojednawczości zaproszenie to dał klub posłów niemieckich następującą, przez przywódcę swego, dra Schmeykala, odpowiedź:

„Podzielamy całkowicie zapatrywanie na niepokojące stosunki w Czechach, jednakże upatrujemy złe nie w pokrzywdzeniu języka czeskiego, lecz w zabiegach, dążących do uważania języka niemieckiego za krajowy, nie zaś — jak być powinno (?!) — za państwowy. Wszelkie orzeczenia pod tym względem należą nie do sejmu, lecz do Rady państwa, której zadaniem jest tworzenie uchwał, obowiązujących całą monarchię.

W różnicy, jaka zachodzi między naszymi na obecną sprawę poglądami, uwydatnia się zasadniczy kontrast w pojmowaniu ogólnych stosunków austryackich. My stoimy na stanowisku jedności państwa i jedność tę chcemy nadal utrzymać. Z podziału zresztą na kurye narodowe nie spodziewamy się naprawy obecnego położenia Zachodzą dwie ewentualności: naprzód może się cała praca prawodawcza rozbić o *veto* jednej lub drugiej kuryi, albo też za parlamentarnym pójdzie i administracyjny podział kraju na część czeską i niemiecką, czego wy nie dopuścicie.

Wreszcie też chwila obecna nie zdaje nam się do podobnych usiłowań odpowiednią. Posłowie czescy popierają w Radzie państwa politykę szkodliwą dla niemieckiego żywiołu w Austryi, zagrażającą jedności i wolnomyślności ustaw. Stanowiska naszego będziemy bronić sami.“

„Nieprzejednani“ odrzucają zatem stanowczo podaną rękę do zgody przez tych, których tak długo gnębili! Odmowna odpowiedź niemców rozmaicie podziałała na umysły. Staroczeskie dzienniki wyrażają żal z powodu niedojścia układów do skutku, natomiast organy młodoczechów zerwanie ich uważają za fakt pocieszający.

„Dziś nareszcie—piszą z tej okazyi *Narodni listy*—możemy z radością i podniesionym duchem ogłosić naszemu narodowi, że czasy chłodzenia i gaszenia narodowych czeskich uczuć, czasy zmuszania się do zgody za wszelką cenę, czasy ciężkiej i śmiesznej polityki minęły już, spodziewamy się, bezpowrotnie. Zawdzięczamy to owej bezpodstawnej arogancyi, jaką okazali niemieccy reprezentanci, odrzucając otwarcie tę tak obydną dla nas pojednawczość i powiadając nam w oczy, że jesteśmy zdrajcami.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ofiara. J. I. Kraszewski ofiarował poznańskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk swój zbiór jubileuszowy.

Zapis Staszyca. Po długich przygotowaniach Rada miejska dobroczynności publicznej postanowiła wreszcie wykonać projekt znakomitego filantropa, ale z wielkiemi zmianami. W budynkach b. warszawskiego domu przytułku i pracy urządzony będzie zakład dobroczynny, mający dostarczyć biednym roboty płatnej. Zakład ma nosić nazwę: „Warsztaty Staszyca“ i przeznaczony będzie dla 60 osób mężczyzn i kobiet. Do warsztatów przyjmowani będą wszyscy bez różnicy wyznania, otrzymają oni lokal, pożywienie i ubranie w zamian za co będą się trudnili wskazanemi im robotami. Nie wdając się w krytykę projektu zauważymy tylko, że, ponieważ suma zapisu wynosi już 221,400 rs.—będzie to chyba za droga filantropia. Za 11,000 rs. rocznie, nie licząc wartości robót, możnaby utrzymać więcej trochę, niż 60 osób.

Zjazd prawników i ekonomistów polskich odbyć się ma we wrześniu 1884 r. we Lwowie. Inicyatywę podjęło lwowskie Towarzystwo prawne.

Prasa polska. *Tygodnik kucharski*, mający wychodzić od 1 października zapowiada pracę T. T. Jeża: „Co jadają turcy.“ Czy nie ciekawszą byłaby wiadomość: co jadają mieszkańcy Warszawy?

Przekłady czeskie. Panna Krasnohorska, tłomaczka *Pana Tadeusza*, zamieszcza obecnie przekłady poezyj Konopnickiej w czasopiśmie *Slovanski Sbornik*. Niedawno wyszła również *Sielanka Nierożowa* Orzeszkowej w tłomaczeniu F. A. Hory.

Biurokracya syberyjska. Sprawa kańskiego isprawnika (naczelnik powiatu) Wasiljewa, oskarżonego o nadużycia, po dokonanem śledztwie obejmuje 60,000 arkuszy. Dla przewiezienia aktów użyto 6 podwód a 6 stróżów przez pół dnia układało papiery.

Wyścigi gazet. Gazety *New York Herald* i *Tribune* ścigały się na przestrzeni 180 mil. która z nich pierwsza dostarczy niedzielne wydanie prenumeratorom w Saratodze (miejsce kąpielowe). Dzienniki wysłane były specyalnemi pociągami, a dalej do miejsca wózkami parokonnymi. Wygrała zakład *Tribune*, ponieważ na półgodziny wcześniej doszła do rąk czytelników.

Kolonia polska w Azyi. *Kraj* podaje ciekawe szczegóły o kolonii polskiej Adampol, położonej w Turcyi azyatyckiej, o kilka mil od Konstantynopola. Założona została przez księcia Czartoryskiego po wojnie krymskiej. Mieszkańcy dostarczają do stolicy najlepszego nabiału i owoców, mają się nie źle, ale wszystkie prawie zarobki przepijają w szynkowniach, których tam również nie brak, jak i w ojczyźnie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. S. K. Forma „zazdraszczam“ nie jest poprawną i nie może być używaną. Co do dalszej przesyłki *Prawdy*—nie załączył nam Pan w liście swego adresu.

Dr. M. Cywiń. w Wilnie. Dodatek za rok 1882 kosztuje rs. 2.

P. S. Kr. w Wilnie. Artykuł Pański jest dla naszego pisma zbyt obszerny i zbyt spóźniony.

Miłośnikowi Prawdy. P. Lucas *Traité physiologique et philosophique de l'hérédité naturelle*, Moreau de Tours *Psychologie morbide*, Mandsley *La crime et la folie* (w przekładzie), Ribot *L'hérédité* i in., nadto dzieła psychologiczne (Spencera, Baina itd.) oraz fizyologiczne (Wundta, Müllera itd.).

Sprostowanie. W poprzednim nrze *Prawdy*, str. 382, łam 1, w. 13 od góry zam. prywatni, czyt. *pozytywni*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Августа 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.